ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 170.

№ 8. | Warszawa, 16 kwietnia 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



Na ciągu.

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(Ciąg dalszy).

Kuropatwa, dobrze trafiona, pada z dymem martwa na ziemię.

Śmiertelnie raniona pada na wznak, lub na piersi, trzepie skrzydłami, lub ciekami, i kończy; niekiedy po strzale ciągnie nieco dalej, porusza jednak skrzydłami zwolna, prawie nieznacznie, a kiedy spada na ziemię, tuli skrzydła.

Trafiona w skrzydło, czyli obarczona (obarczona, mówią także na kurę wtedy, gdy jest mocno postrzelona), zatacza krąg, szybko trzepocząc, zaraz jednak opada, czasami przywarowuje, co czyni zwykle na nieokrytym terenie, zaś w zakrytem miejscu, np. w redlinie i t. p., wycieka bardzo szybko i bardzo daleko.

Do okaleczonej kuropatwy należy się zaraz udać z psem, w celu jej odszukania, bo niepostrzeżenie wyciecknie na sto kroków i dalej nawet, a wtedy już trzeba mieć bardzo dobrego psa, aby ją odszukał.

Kuropatwa, trafiona w jedną nogę, opuszcza jedną, trafiona w obydwie — opuszcza obydwie, ciągnie jednak dalej, a kiedy zapadnie, leży kamieniem, czyli silnie przywarowuje. Kuropatwa, chociaż ma obydwie nogi postrzelone, może się jeszcze zerwać i dalej pociągnąć; więc najlepiej drugi raz strzelić, bo może przepaść.

Jeżeli kuropatwa w stadku po strzale wyżej nad inne wzlatuje i pióra z niej się sypią, a ruchu skrzydłami nie zmienia, wtedy jest tylko w piersi raniona. Trafiona w brzuch, daje znak gwałtownym ruchem (targnie się), niekiedy opuszcza cieki, ciągnie dalej, wznosi się w górę, często nawet dosyć wysoko i kończąc życie w powietrzu, martwa pada na ziemię.

Jeżeli śróciny ugodzą w krzyż, wówczas kuropatwa targnie się, podobnie, jak wyżej, następnie jednak ciągnie dalej w linii falowatej i wreszcie spada.

Trafiona w głowę, wzbija się prosto w górę, a następnie, jak kula, spada; lub też opada na ziemię i z wysiłkiem chce uchodzić, a nie może, przyczem stula i roztwiera skrzydła.

Jeżeli śrócina wybije oko, jednak bez naruszenia mózgu, wówczas kuropatwa wzbija się także w górę, unosi się przez pewien czas w powietrzu, następnie wolno opuszcza się na ziemię, za zbliżeniem się zrywa się ponownie, i aby ją dostać, należy drugi raz strzelić.

Często kuropatwa po strzale pada z dymem i zostaje bez ruchu, rzekomo nieżywa, po pewnym czasie atoli, kiedy niejednokrotnie zawieszona jest już u torby, wraca jej życie i gwałtownie się trzepoce. Ponieważ objawy takie są nieprzyjemne i sprzeciwiają się etyce myśliwskiej, więc uprzednio, zanim przytroczymy ptaka, należy się przekonać, czy istotnie już żyć przestał. U kuropatwy rozpoznać to bardzo łatwo, bo kiedy życie kończy, zamyka oczy.

Aby zatem uniknąć niemiłego wrażenia, należy każdą sztukę, która ma oczy otwarte, dobić.

Kuropatwę dobija się po myśliwsku przez silne ujęcie prawą ręką tuż pod skrzydła (wskazującym i wielkim palcem), lub, co robią zwykle, wyrwaną lotkę wsuwając w tył głowy, tam, gdzie szyjka łączy się z główką, co przy uchylonym łebku na trudności nie natrafia.

Kuropatwę zabitą najlepiej podjąć osobiście, raz dlatego, żeby się przekonać, gdzie była trafiona, a po drugie, żeby jej upierzenia, o ile możności, nie naruszyć.

Pojedyńczy myśliwy umieszcza kuropatwy na trokach przy torbie tak, żeby swobodnie w powietrzu wisiały, zatem używanych niekiedy tu i owdzie siatek, przewieszonych przez ramię, należy zupełnie zaniechać, bo są nieodpowiednie.

Na polowania z naganką pouczyć ludzi, którzy ewentualnie na zabitego ptaka natrafią, tak samo, jak i tych, którzy do zbierania są przeznaczeni,—żeby nie nosili kuropatw w ręku, bo ptak, ujęty całą ręką, nie oziębia się tak szybko, co wpływa szkodliwie na dalszą konserwacyę, dalej ujmować ptaki zawsze tak, żeby im upierzenia nie uszkodzić, nie wyrwać ogona i t. p., bo traci tym sposobem dużo na dobrym wyglądzie i na wartości.

Kuropatwę najlepiej ująć za ciek, lub za łebek, a jeżeli dalej ma być niesiony, można łebek wsunąć

NA „OSINNIKACH".

(Ciąg dalszy).

— To tamtą drugą dubeltówkę mieliście? — spytałem.

— Aha, na obławę, czy co takiego, zawsze tamtą biorę, przychodzi się czasem dwa razy zadać. A panicz że, co jutro? Może z Żuczkiem tu gdzie pochodzim? Jak raz na Hryble lisa panicz zastukasz.

— A można będzie popróbować; a łosi niema?

— Cości nie słychać, już nocy pięć teraz nocowałem w lesie i nic, cicho; dawniej bywało, zawsze nad rzeką w olszynie wabił się, a w tym roku jakoś niema, musi być pod Juchowiecką puszczę podali się. Ot, głuszców, tak tych w tym roku ćma. Kiedyżto, we wtorek, zdaje się, tak na dwieście kroków od chaty, koło ruczejku, zabiłem jednego, i to stary, szelma, prosto z pod nóg wyrwał się.

Powoli ogarniała mię senność, więc też wyciągnąłem się koło ognia, przykryłem kożuchem i wkrótce zasnąłem. Niedługo jednak spałem, gdy raptem obudziło mię warczenie Żuczka. Otworzyłem oczy i ujrzałem, jak Hrehor jedną ręką mocno trzymał psa za obrożę, a w drugiej ściskał swą armatę.

— Co tam takiego?— spytałem szeptem.

— A ozort jego wie, musi być niedźwiedź gdzie chodzi, czy co, a jego trzeba trzymać, bo bardzo zły, rzuci się i pociemku jeszcze popadnie się w pazury.

Wziąłem do rąk flintę i wbiłem wzok w czarną przestrzeń, dokąd zwrócony głową Żuczek, wciąż warczał głucho. Przesiedzieliśmy tak długo, nie wiem, czy pół, czy trzy godziny, gdyż na zegarek nie patrzałem. Powoli jednak pies się uspakajał i tylko od czasu do czasu, zwróciwszy głowę w podejrzaną stronę i nastawiwszy uszy, warczał lekko, jakby dając znać, że nie zapomniał o tem, co go tam zaniepokoiło. Wreszcie uspokoił się zupełnie i skręciwszy się koło ognia, zasnął. Odetchnęliśmy nareszcie. Spojrzałem na zegarek, była pierwsza. Hrehor wstał, wziął kupę chróstu, przygotowanego z wieczora, i nawalił na ognisko. Ochota do snu jakoś mnie odeszła.

— To tak samo raz nocował leśnik w Orłowickim lesie: ale to było wiosną, i przyszedł do niego niedźwiedź, tak on strzelił, ale spudłował, a niedźwiedź do niego lezie, tak on jak schwycił głownię z ognia, do niedźwiedzia prosto w oczy, tak ten w nogi. A miałem ja wprzódy psa, dobry był, tak też raz w nocy jesienią, podszedł, musi być, niedźwiedź, a on jak rzuci się. Co ja nie wołał jego, nic, wozi się gdzieś, ujada, aż słyszę tylko zawył, i cicho, a na drugi dzień znalazłem, ze wszystkiem, jak jest, porwany, ot prawie aż płakałem; tak teraz, jak tylko pies w nocy zawarczy, tak ja jego za kołnierz, poczekaj, nie leź, gdzie nie trzeba.

między palce (wskazujący i średni) i tak donieść do końca miotu.

Naturalnie, że niosąc ptaka za łebek, należy go nieść spokojnie, bo przy gwałtownych ruchach ręki może się kuropatwa własnym ciężarem od główki oderwać.

Dla wyżej podanych powodów przyjąć za zasadę: nie dawać psu aportować kuropatwy, jeżeli tego nie zachodzi usprawiedliwiona potrzeba.

Po ukończonym miocie oddaje się kuropatwy tym, którzy do noszenia są przeznaczeni.

(C. d. n.)

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Ja sam, w czasie swych podróży po Ameryce Południowej, mogłem się przekonać, w jaki sposób tamtejszy gatunek łasicy, bardzo podobny do naszej, tylko nieco większy, bierze młode zające. Podczas mych ekskursyj w Kordylierach parokrotnie spotykałem nieżywe, młode zajączki nienaruszone; miały one zawsze dwie symetryczne, małe ranki po obu stronach karku. Przez długi czas nie mogłem sprawdzić, jaki zwierz w ten sposób morduje biedne zajączki, aż nareszcie pewnego razu ujrzałem w odległości paru kroków pomykającą wśród traw łasiczkę; gdym podszedł do tego miejsca, ujrzałem drgające jeszcze ciałko młodego zajączka z charakterystycznemi rankami na karku.

Słyszałem też niejednokrotnie w Kordylierach od wiarogodnych osób, że łasiczka ta nierzadko napada na sarny kordylierskie (*Cervus nemorivagus*) w ten sposób, że im się czepia u szyi, i pomimo szalonego biegu swej ofiary, póty utrzymuje się na pozycyi, aż póki sarna z przegryzioną tętnicą szyjną nie padnie od krwi upływu. Wprawdzie nie słyszałem nigdy, aby nasz gatunek w ten sposób atakował sarny krajowe, niemniej jednak szkodnik ten czynić musi wśród zwierzostanów naszych znaczne spustoszenia, od których nietylko cierpi mniejsza zwierzyna czworonożna, ale nawet i ptaki, jak kuropatwy, cietrzewie, bażanty, jarząbki, głuszce i t. p. Bo łaska nietylko, że je wprost znienacka napada i morduje, ale także niszczy im gniazda, gdy je tylko spotka.

Tak wszechstronnie szerzone przez łasicę spustoszenia musiały wywołać ze strony myśliwych-hodowców cały szereg represalij, objawiających się we wszelkiego rodzaju sposobach tępienia tego szkodnika. Nie myślę też bynajmniej iść za zdaniem znakomitego znawcy obyczajów zwierząt, Brehma, który w dziele swem zachęca do absolutnego ochraniania łasicy, jako niszczącej straszną moc wszelkiego rodzaju małych gryzoniów, dla rolnictwa szkodliwych; ale jestem zdania, że w wyjątkowych latach, gdy się polniki zbytnio rozmnażają, należy bezwarunkowo wstrzymać się od tępienia łasic, widząc w nich wtedy prawdziwego sprzymierzeńca człowieka. W takie lata mniej szkody sprawia nam łasica, zniszczywszy parę gniazd kuropatwich lub zagryzłszy kilka młodych zajączków, aniżeli te krocie młodych gryzoniów, które bezpośrednio pozbawiają nas chleba powszedniego. Jest to jeden z tych wypadków, gdzie interesy gospodarstwa łowieckiego musimy pomimowoli zepchnąć na plan drugi, dbając przedewszystkiem o dobro ekonomiczne kraju.

Gronostaj (*Mustela erminea*) spotyka się na całym obszarze Polski, chociaż sądząc z rzadkich wypadków zabicia go, nigdzie nie musi być pospolitym. Ja na przykład, mimo, że przez długi szereg lat miałem okazyę polować nietylko w różnych okolicach Królestwa, ale także na Litwie, na Wołyniu, na Ukrainie i w Galicyi, raz tylko jeden miałem sposobność zobaczenia gronostaja, a mianowicie w Krzeszowicach pod Krakowem. Podczas zimowej naganki wyskoczył on na chwilkę z małej, ale bardzo gęstej remizki, poczem się skrył i już go nikt więcej nie widział. Natomiast tropy jego pokazywano mi kilkakrotnie na śniegu.

Każdy chyba zna futro gronostajowe, czysto białe, upstrzone czarnemi ogonkami, używane zarówno do podbicia płaszczów monarchów i wysokich dygnitarzy zagranicznych, jak i salop lub żakietów damskich. Mało jednak komu wiadomem jest, że ten sam gronostaj w porze letniej jest zupełnie tak samo ubar-

---

Po niejakimś czasie znów mi się spać zachciało, więc położyłem się i zasnąłem. Gdym się obudził, ledwo zaczynało świtać; Hrehor stał koło ognia, nad którym wisiał ten sam imbryk z wodą. Wyszedłem z pod gałęzi świerku i obejrzałem się na wszystkie strony. Dzień wstawał zwolna, szary, wilgotny, chłodny, jesienny dzień. Niebo było pokryte chmurami. Ani śladu wczorajszej pogody. Tylko cisza ta sama. We mgle poranku nawet trzask ognia wydawał się jakiś głuchy. Deszczu nie było, ale ciemne zwały chmur wyglądały bardzo podejrzanie. Zabraliśmy się do śniadania. Jedliśmy, nie spiesząc się, popijając zwolna gorącą herbatę i grzejąc się przy ogniu od rannego chłodu. Hrehor co chwila wydzielał mały kąsek chleba Żuczkowi, który łapał go w powietrzu, łykał, nie gryząc prawie, i patrzał mi wciąż w oczy, machając wesoło ogonem.

— Czy dużo też zabiliście niedźwiedzi? — spytałem mego towarzysza.

— A kto ich wie, ile wszystkiego razem — odrzekł, — ot, od tego, co toporem zabiłem, jak pan hrabia, wieczny pokój, polował, to każdego naznaczam na sznurku. Pan hrabia, wieczny pokój, mnie dał taki sznurek, jedwabny, tak ja jak tylko jakiego zawalę, tak zaraz węzełek. Teraz cości 47 ich tam jest, a wprzód musi być też sztuk ze 30 zatłukłem. Raz pamiętam, po powstaniu, przyjechali z miasta dwa ruskie panowie do mnie, chcą niedźwiedzia zabić. Tak ja ich poprowadziłem do barłogu. A barłog był pod wywrotem. Podeszli my, zacząłem ja hukać, tak niedźwiedź tylko łeb wysadził, i burczy, i fyrka, a nie chce wyleźć. Tak ja do nich: bijcie panowie. Gdzietam, jeden za drugiego chowa się, i tylko to na mnie patrzą, to na niedźwiedzia. On jak wyskoczy, a moje pany fuzye nabite na ziemię, a sami w nogi. A ja jak huknąłem po niedźwiedziu, tak trup. Później przyszli, blade, trzęsą się, dopiero zobaczyli, że niedźwiedź zabity, tak starszy zaraz mnie 25 rubli i mówi: nie mów tylko nikomu, jak to było, a że my zabili niedźwiedzia. A niechaj sobie, Bóg z niemi. Ale musi być, trzeba będzie już iść. Żeby tylko deszcz nie poszedł, dodał po chwili.

Spakowaliśmy manatki i ruszyliśmy. Szliśmy wolno, szeleszcząc po zeschłych liściach. Szaro było i wilgotno; na końcu każdej gałązki wisiały duże krople, coraz to spadające na ziemię z cichym szelestem, który zlewał się w jeden cichy i monotonny dźwięk. Nie uszliśmy jeszcze stu kroków, gdy wtem Hrehor zatrzymał się i począł bacznie się przyglądać jakimś śladom, które widoczne były na ziemi i mchu.

Włodzimierz Korsak.

(Dok. nast.).

wiony, jak łasica, od której można go tylko rozróżnić po większych rozmiarach (33 do 40 ctm. długości), a szczególniej po znacznie dłuższym ogonku. Zwierzątko to przybiera barwę brunatną z końcem zimy przez linienie, to znaczy, że włos biały wypada, a natomiast wyrasta włos brunatny. W jaki sposób odbywa się powtórna zmiana koloru, a mianowicie brunatnego na czysto biały, — dotychczas sprawdzonem nie zostało, są jednak niektóre dane do przypuszczania, że ta zmiana koszulki nie odbywa się przez wypadanie włosa, lecz wprost przez zmianę barwy brunatnej na czysto białą; widziano bowiem gronostaje brunatne już podczas zimy, jeśli tylko temperatura powietrza była dość wysoka; skoro jednak nastawały zimna, gronostaje przybierały barwę białą w ciągu kilku dni. Te jednak nie wszędzie i nie zawsze dają się zauważyć; tak np. w Anglii, gdzie gronostaj nie jest bynajmniej rzadkością, wyjątkowo tylko dają się spotykać te zwierzątka w swej białej, zimowej szacie.

Pod względem obyczajowym gronostaj nie różni się bynajmniej od łasicy. Podobnie, jak i ona, wybiera sobie za siedlisko nory, rozpadliny skał, dziuple drzew i t. p., a pod względem drapieżności i zuchwalstwa w niczem tamtej nie ustępuje, napadając nieraz na zwierzęta znacznie od siebie większe. Widziano je, atakujące dorosłe zające, a według świadectwa Wood'a, zaczepione przez człowieka, rzucają się nie kiedy na niego ze straszną zajadłością. Krwiożercze instynkta gronostaja skłaniać też muszą hodowców-myśliwych do jego tępienia; u nas jednak dla swej wielkiej rzadkości, zwierzątko to nie może wywierać wpływu na gospodarkę łowiecką. Futro gronostaja jest bardzo cenione, gdyż używanem bywa nietylko do okrycia majestatu monarchów, oraz dygnitarzy sądowych, administracyjnych i naukowych, ale także mile widzianem jest przez modne damy zarówno do podbijania okryć, jak i na kołnierze.

Tchórz (*Mustela putorius* lub *Putorius foetorius*) rozpowszechniony jest na całym obszarze kraju naszego. Futro jego ulega pewnym modyfikacyom, a mianowicie, gdy u samca nasadowa część włosu jest żółtawa, u samicy przybiera barwę białą. Ten ostatni kolor przeważa niekiedy, nadając zwierzęciu na grzbiecie odcień jasny. Widziałem kiedyś egzemplarz tchórza, zabity pod Siedlcami, u którego kolor biały przeważał w tak znacznym stopniu, że tchórka tego można było prawie wziąć za gatunek syberyjski (*Mustela Eversmanni*). Niekiedy też trafiają się okazy albinistyczne, białe lub żółtawe.

Tchórza można spotkać wszędzie – zarówno w polach, jak i w lesie, najczęściej jednak trzyma się w pobliżu siedzib ludzkich, gdzie ma ułatwione polowanie na szczury, myszy, a także i na drób domowy. Dzień spędza w ukryciu — czy to w opuszczonej norze lisiej, czy w dziuplu drzew, w rozpadlinach skał, pod stogami siana, w stodołach, śpichlerzach, na strychach domostw. Raz nawet przydybałem śpiącego tchórka w strzyżonym żywopłotku świerkowym przy linii kolejowej między Krzeszowicami i Krakowem; widocznie przywabiony ciepłemi promieniami słońca, spał tak twardo na widoku wszystkich, żeśmy z łatwością podeszli na krok odległości i śmiertelnemi uderzeniami kija przerwali mu to *dolce far niente*, aby go pogrążyć w śnie wiecznym. Dopiero z nastaniem zmroku tchórz opuszcza swą kryjówkę, aby się łowom poświęcić. Mniej krwiożerczy od kuny lub łasicy, mniej też jest wybredny w wyborze pożywienia; gdy mu się więc okazya nadarzy, napada na drób domowy, na zajączki, na jaja ptaków kurowatych łownych, na szczury, myszy i chomiki; w braku jednak tych specyałów, nie gardzi żabami, rybami, a nawet chętnie spożywa koniki polne, węże i żmije. Charakterystycznem jest, że jad żmii nie działa na niego, podobnie jak i na jeża, o czem przekonały doświadczenia, robione przez Lenza na tchórkach chowanych. Zwierzątko to, dzięki prowadzonej przez siebie, zajadłej wojnie przeciw myszom i szczurom, cieszy się sympatyą mieszkańców w wielu okolicach Niemiec. Nie jestem wszelako zdania, abyśmy się w ten sposób zapatrywać nań mieli. Tchórek zbyt wiele szkody wyrządza w gospodarkach łowieckich, abyśmy go swą opieką otaczać mieli. Jest to zdeklarowany nieprzyjaciel naszych zwierzostanów, i jako takiego winniśmy tępić wszelkiemi sposobami, t. j. bronią palną, trutką i samołówkami. Z tych ostatnich najpraktyczniejsze są podobno samotrzaski skrzynkowe, chociaż można też z powodzeniem używać żelaz talerzowych, kładąc na przynętę jajo, lub łebek zabitego ptaszka.

Futro tchórka, znane u nas w handlu pod nazwą „ełków damskich“, jest dość cenione, ma bowiem włos długi, dość puszysty, a nadto jest trwałe. Pomimo nazwy, używanem bywa także i przez mężczyzn na podbicie palt i algierek. Skórki letnie są prawie do użytku niezdatne, mają bowiem włos krótki i rzadki.

Jan Sztolcman.

(*C. d. n.*).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

12 lipca. Guy robi małą wycieczkę dla sprawdzenia całego labiryntu tropów świeżych, i wraca, nie zdoławszy ich rozplątać. Karissa zaczyna się niepokoić i przygotowuje zarzewie oraz kadzidło, a następnie prosi o sztucer cal. 450, który pompatycznie okadza, powtarzając formułę, w której wyrazy: Karissa, Bibi, Bwana powtarzają się wielokrotnie. Zdaje się, że według jego zdania, jest to nieomylny środek, aby się polowanie na słonie udało. Pod wieczór udajemy się nad brzeg morski, gdzie widać świeże tropy słoni, ale jeden z poszukiwaczy miodu objaśnia nas, że słonie już odeszły.

13 lipca. Pozostajemy zawsze na miejscu; o słoniach ani słychu; czyżby się w samej rzeczy wyniosły?

14 lipca. Karissa i Mahouhia (przewodnik z M'tondii) poszli na poszukiwanie słoni. Guy znalazł nareszcie trochę czasu, aby zabić parę ptaków; zajęty jest wydmuchiwaniem jaj nurka.

P. Mackertish przysyła nam afrykańskiego „Standarta“, skąd dowiadujemy się, że zawotowano rozdział Kościoła od Państwa. Wieleż to słów i atramentu musiało kosztować. Grzeczny Anglik przysłał nam też doskonałych „mealies“ (pieczone kaczany kukurydzy) i chleba świeżego. Sprawiło nam to większą przyjemność, aniżeli dziennik.

15 lipca. Mahouhia powrócił wczoraj wieczór. Dziś rano Guy wyruszył z nim o godz. 4-ej rano, zabierając ze sobą cały lotny obóz. Hassani strzela drobne ptaszki; ponieważ jednak mamy na śniadanie sam tylko ryż i soczewicę, więc Henryk posyła go na kuropatwy. Nie skarżymy się już teraz, że codzień mamy kury do jedzenia, nigdzie ich tu dostać nie można.

Henryk robi swoje rachunki, a tymczasem na dworze pada deszcz zimny; czas jest smutny. Mieliśmy już o 6-ej siadać do obiadu, aby przerwać ten przykry dzień, gdy zjawia się Guy tak przemoknięty, jakby wylazł z samego dna oceanu. Udał się on naprzód do Roca i od tej wsi, dokąd przybył o 7-ej ra-

no. nie zatrzymywał się ani chwilki. Zgubił on po drodze tragarza, który niósł zapas wody, i odtąd gasił pragnienie wodą deszczową, która się zbierała na rondzie jego kapelusza; za całe pożywienie służył mu orzech kokosowy, wyrzucony przez morze. Mnóstwo starych tropów słoniowych zmusiło go do przebycia lasu, aż na skaliste urwiska przy brzegu morskim. Po drodze zabrał pentarkę, złowioną w sidła (rodzaj kolczastego płotu, w którym co pewną przestrzeń są zastawione pętle). Deszcz nie pozwolił mu na upieczenie tej zdobyczy, jak również dwóch rekinów, które zabił ze swego cal. 450 z wysokości skał nadbrzeżnych. Po tem wszystkiem nastąpił strasznie przykry powrót po ostrych grzbietach skalistych, które cięły i kłuły nogi. W pośród tych grzbietów roślinność ukrywała miejscami głębokie przepaście, na dnie których huczało morze. Dziwić się należy zręczności słoni i bawołów, które włóczą się tu chętnie, gdyż wszędzie spotykano ich tropy. Myśliwi spostrzegli nawet młodego bawołu na odległość pięciu metrów, lecz szkoda było nawet strzału do tego byczka. Może to nawet dobrze, że Opatrzność ustrzegła Guy'a od jakiego spotkania, gdyż ta dżungla nadbrzeżna składa się z gałęzi poplątanych i trudnych do przebycia, rodzaju karłowatych dziwoklów [1], w pośród których można tylko postępować przy pomocy noża. Mnóstwo tu ptactwa morskiego, lecz deszcz rzęsisty i noc zbliżająca się, nie pozwoliły uganiać się za niemi.

Ongwatocha, który z trudnością dowlókł się do obozu, pozostawszy w tyle, opowiada nam, że o 25 minut drogi czuł silny odór padliny. Oczy jego błyszczą przytem. Czyżby to był „tembo"?

Uragan rozszalał się na dobre. Szybko kończymy obiad i idziemy spać. Guy kładzie się na ziemi, gdyż łóżko jego pozostało gdzieś w dżungli wraz ze zbłąkanymi tragarzami.

16 lipca. Raniutko posyłamy jednego z askarisów z sześciu tragarzami dla sprawdzenia odoru, zauważonego wczoraj, lecz wracają oni z niczem. Wówczas wyrusza Guy w towarzystwie Karissy, gdyż trzeba się bądź co bądź przekonać, jaki to zwierz gnije: a musi to być gruba jakaś sztuka, gdyż hyeny, sępy i mrówki nie dają czasu gnić nawet wielkim antylopom.

Czuć odór w tem samem miejscu, co i wczoraj. Guy posyła jednego askarisa i dwóch jeszcze ludzi na lewo, a sam rusza na poszukiwania w przeciwnym kierunku. Karissa wciąga w siebie wilgotne powietrze, lecz nie rozróżnia tego zapachu, aż nareszcie, w chwili silniejszego rozdęcia nozdrzy, jego organ węchu odczuwa zapach zgnilizny. Rusza wtedy, jak kula, i z szybkością „120 na godzinę" biegnie wprost pod wiatr. W dziesięć minut potem tryumfujący okrzyk: „Tembo choho"! — napełnia radością serca wszystkich. Myśliwi biegną, nie bacząc ani na ciernie, ani na kolce, ani na „miły" zapach, który nimi kieruje, ku olbrzymiemu cielsku, leżącemu wśród kolczastego gąszczu.

W chwili, gdy ja i Henryk zajęci jesteśmy fotografowaniem Alfreda, przybywa Chandi z okrzykiem: „Tembo", co wyrywa z piersi Alfreda potężne „Hip, hip, hura"! Nasza radość nie ma granic; ruszamy w stronę zabitego słonia. Na nieszczęście nie mogę być obecną przy wyjmowaniu kłów, gdyż deszcz zaczyna padać, a nadto odór jest nie do wytrzymania. Robactwo roi się myriadami na trupie słonia, pamiętajmy bowiem, że to już szósty dzień, jak ten biedny „tembo" śpi snem wiecznym. Nareszcie kły są wyciągnięte, a strzelbonośscy nie zapomnieli o zakopaniu obu olbrzymich nerwów w ziemi; wyjęto też zęby, wyrwano szczeciny z ogona i o godz. 6-ej przybywa do obozu prawdziwa procesya wraz z „kością słoniową", którą tryumfalnie obnoszą wkoło wsi na tempo prawdziwego „cake-walka". Kły ważymy u p. Mackertish'a: jeden waży 42, a drugi 43 funty.

Cała ludność osady zgromadza się u nas z powinszowaniami, a głównie dlatego, aby otrzymać bakszysz. Po obiedzie przyglądamy się tańcom i słuchamy śpiewów „M'yamwesi" — pokolenia z kolnij niemieckich, z którego pochodzą prawie wszyscy nasi safarisi. Taniec jest raczej dziwnym, ale za to w śpiewie nie brak pewnej melodyi. Zwykle strofki są śpiewane solo przez jedno z dzieci, a następnie powtarzane chórem przez całe towarzystwo.

(*C. d. n.*)

[1] Dziwokle (*Rhizophora*) gatunek drzew, rosnących w krajach podzwrotnikowych w ujściu rzek do morza. (*Przyp. Tłóm.*)

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

O parę godzin drogi koleją i godzinę dyliżansem od Kandy, leży, wysoko w góry wysunięta miejscowość, zwana Nuwara Ellia, niby Dardżiling Cejlonu, tak, jak Kandy mutatis mutandis, z indyjską Simlą porównywać można. Ze względu na wysokie położenie (około 6,000 stóp nad morzem), klimat Nuwary Ellii uchodzi za najzdrowszy na wyspie, kwalifikujący tę miejscowość na ogólne sanatoryum dla mieszkańców Cejlonu. Okolica ma być malownicza i warunki życia bardzo miłe. Nam już czasu nie starczyło na tę wycieczkę. Zresztą w lutym ma tam być tak zimno, że w nocy nieraz mróz wodę ścina; bałem się tedy po upałach kolombijskich narazić zdrowia przed rozpoczęciem wyprawy myśliwskiej na możliwe skutki zmiany temperatury i nieuniknione zaziębienie.

Powróciliśmy do Colombo na dwa dni przed odjazdem statku do Hambantoty. Soult powitał nas na dworcu dobrą nowiną, że wszystko już do ekspedycyi gotowe, ludzie najęci, prowizye zakupione i t. d. Otrzymałem też telegram od p. Murraya z Hambantoty, że namiot i dwa kucyki wierzchowe są na nasze rozkazy. Pozostało mi jeszcze kilka ostatnich, drobnych czynności, jak przepakowanie rzeczy, amunicyi i wreszcie najęcie krajowej służącej dla mej żony, co, dzięki uprzejmości pani von Raden, bardzo szczęśliwie się udało. Czarna Syngalezka okazała się równie uczciwą sługą, jak zręczną pokojową. Nabrała wprawy w usługach u przyjezdnych pań europejskich, od których posiadała dobre świadectwa, i wyuczyła się płynnie po angielsku.

Kobiety ubierają się na Cejlonie podobnie jak mężczyźni; taka sama, około bioder okręcona spódnica z jasnego perkalu stanowi dolną część ubrania, t. zw. kambayę, nad którą Syngalezki noszą białe kaftaniki, Tamilki zaś prostą chustkę, przez jedno ramię przerzuconą. Te ostatnie odróżniają się też od Syngalezek mnóstwem złotych i srebrnych ozdób, które noszą w uszach, w nosie, na rękach i nogach.

W ubraniu Syngalezek pewne szczegóły mają pochodzić z czasów Holendrów; od ich kobiet czarne elegantki przyswoiły sobie niektóre mody. I tak, białe kaftaniki, chustki, w formie okrycia na głowę, jedwabne, szerokie spódnice i t. p. mają być holenderskiemi naleciałościami. Istotnie w święto w kościele wystrojona wyższej kasty Syngalezka, wyjąwszy kolor skóry, rażąco przypomina z kostyumu holenderską wieśniaczkę.

Włosy kobiety noszą w tył zaczesane i w węzeł

upięte, grzebienia zaś szyldkretowego używają tylko mężczyźni, i to kast wyższych, po większych miastach, po wsiach w głębi wyspy i u uboższej warstwy ludności widać zazwyczaj długie, rozpuszczone włosy.

W ostatniej chwili, za poradą von Radena i Soulta, zdecydowaliśmy się wysłać naprzód całą karawanę, t. j. bagaż i ludzi, wprost z Colombo statkiem do Hambantoty, sami zaś nazajutrz do Point de Galle lądem się dostać i tam ze statkiem się złączyć. Zyskaliśmy przeto jeszcze jeden dzień pobytu w Colombo i uniknęli niepotrzebnej podróży morskiej do Point de Galle, które jest połączone z Colombo koleją, w trzech czwartych już ukończoną.

D. 14-go w południe odpłynął niewielki statek, noszący nazwisko małżonki gubernatora „Lady Havelok", z całym naszym taborem ludzi i stosem pak. oraz kufrów, pod strażą Stefana, na swą „tournee" południową, my zaś nazajutrz rano pożegnaliśmy Colombo i uprzejmych państwa Radenów, udając się koleją do Point de Galle.

Odległość między temi miastami wynosi 70 mil angielskich. Droga żelazna, nieskończona zupełnie, dochodzi do stacyi Ambalangoda, skąd ostatnich mil dwadzieścia dyliżansem do Point de Galle przejechać trzeba.

Kierunek drogi nie oddala się od morskiego wybrzeża. Przejeżdżamy okolice, gęsto zaludnione. Maleńkie, ciemne chatki krajowców ciągną się nieprzerwanem pasmem, tworząc jakby jedną, długą ulicę nad koleją, wśród gajów palmowych i bujnej roślinności, która do samego morza dochodzi.

Przejeżdżamy kilka rzek, nad których brzegami obraz wysokopiennej, ciemnej wegetacyi odmienną przybiera cechę. Szczególniej nad Kalugangą, jedną z największych rzek Cejlonu, lasy mangrowów, podszyte gęstą masą lian i powojów, przypominają mi ciemne knieje, które u podnóża Himalajów koło Siliguri widziałem.

W Ambalamgoda przesiadamy się z kolei do „królewskiego dyliżansu", którym resztę drogi odbyć musimy. Dyliżans „królewski" jest to dosyć mizerny wehikuł o niewygodnych, twardych i wązkich siedzeniach, coś w rodzaju staroświeckich bryk pocztowych, które gdzieniegdzie do dziś dnia w naszym kraju kursują.

(*C. d. n.*).

KILKA SŁÓW O RYSIU.

W ostatnich numerach „Łowca Polskiego" zamieścił p. Sztolcman artykuł p. t. „Przegląd krajowych ssaków łownych", a w numerze 4-ym jest opisany ryś.

Ponieważ znam naturę tego zwierza, poznaną praktycznie, jako myśliwy, przez sześcioletni pobyt na Litwie i pilną obserwacyę, umyśliłem przeto zakomunikować to czytelnikom „Łowca Polskiego".

W lasach Albertyńskich (pow. słonimski), gdzie zajmuję posadę leśniczego, zastrzeliłem dwa rysie przed naganką, urządzoną specyalnie po poprzedniem otropieniu zwierza na śniegu. Oprócz tych miałem otropione jeszcze inne dwie sztuki, z których jedna przedarła się po za nagankę, a na drugą nie polowałem, z powodu wyjazdu do dalszego rewiru. Wszystkie cztery sztuki od wczesnego ranku zaległy w miotach i leżały do wieczora na zimowym dniu, a ryś niepolowany ruszył z legowiska dopiero wieczorem, co objaśnia, że w dzień ryś, tak, jak i inne zwierzęta, wypoczywa. Czy w letni, długi dzień ryś tak samo wypoczywa, trudno jest sprawdzić, lecz zdarzało się, że w dnie letnie widywany był przez pastuchów przed wieczorem. To jest pewne, że niewiele sobie robi z blizkiego ruchu i hałasu ludzkiego. Jeden z zabitych przezemnie, zaległ przy porębie, na której pracowało kilkudziesięciu ludzi i tyleż furmanek wywoziło towar, w kawałku młodego, iglastego lasu, pomiędzy dwiema drogami; otropiony był około 9-ej rano, a dopiero kwadrans po 3-ej ruszony był przez naganką. Szedł źle, kręcił się na oczach ludzi i ostatecznie, gdy wymykał na flankę w ogromnych susach, strzeliłem do niego śrótem na krótką metę (30 kroków), lecz w niezmiernym gąszczu, i tylko raz. Po strzale dał znak pewny, lecz poszedł prawie bez farby i około, wawszy swoim zwyczajem miot, wszedł w kwartał następny, gdzie z powodu nocy pozostał. Drugiego dnia, gdym przyjechał na miejsce, dowiedziałem się ze zdziwieniem, że ryś nie wychodził z tego kwartału. To mnie poniekąd upewniło, że jeżeli jeszcze żywy, to jest mocno chory. Około 11-ej, wziąwszy z sobą jednego z gajowych, poszedłem za tropem, lecz wkrótce zrozumiałem, o ile to jest ryzykowne; ryś darł się przez gąszcze bagniste, wywroty i zawały, żeśmy wciąż gubili tropy, byłem pewny, że jeżeli jest żywy, a zechce mnie atakować, to, pomimo gotowości do strzału, nie ja jego, lecz on mnie upoluje. Ruszył jednak przed nami niewidziany i wolno wyszedł w kwartał następny, gdzie został dostrzelony. Jak widać było ze śladów, przed ułożeniem się, wycierał rany w błocie torfowem, a o 50 kroków dalej ułożył się w zagłębieniu, pomiędzy kępami i w pozycyi zwiniętej przebył noc i połowę dnia.

Rysie inne, przed ruszeniem ich, wypoczywały także w pozycyi zwiniętej. Wszystkie trzy sztuki, na któreśmy tu polowali, bardzo leniwie szły przed naganką, wprost były pędzone, a ostatni, korzystając z obrzedniej naganki, przeczekał ją na wywrocie świerkowym i umknął w tył.

Charakterystyczne jest to, że ryś nigdy nie ucieka wprost, jak wilk, tylko kluczy, jak bielak, obłoży i wraca na dawne miejsce, co potwierdzają i ci, którzy polowali na rysie z ogarami. Nagankę trzeba brać mocną i flankę również, bo gdy na wilka wystarczy 2—3 ludzi, aby go ruszyć, rysia trzeba do stanowisk przypędzić.

Stale trzymających się rysiów w lasach tutejszych nie mamy, od czasu do czasu składają nam wizyty tak, jak wędrowne wilki, i wiemy o nich, o ile nastąpi to na śniegu.

Raz tylko stwierdziliśmy na śniegu, że ryś pożarł bielaka, z którego pozostawił tylko tylne części. Nie wiem jednak, czemu to przypisać, chyba własnościom lokalnym, że te rysie otropione były w jednym, dosyć mokrym kwartale, w innych miejscach nie zalegają. Zabite przezemnie sztuki, były obydwa samce stare, wyrośnięte, u jednego przy rewizyi w żołądku były resztki zająca szarego. Tej zimy również był u nas ryś i znowu w tych samych kwartałach, lecz, z powodu dużej ilości ścieżek różnej zwierzyny, nie mogliśmy go otropić, a wzięte na ślepo kilka miotów, rezultatu nie dały.

Mojem zdaniem, cała trudność polowania na rysia polega na tem, że zwierz ten przebywa w niezmiernych jeszcze obszarach lasów Litewskich, gdzie prawidłowe tropienie nie może się odbywać, bo gajowi miewają obchody po 3.000—6.000 morgów, a nieraz i więcej, tak, że raz w tydzień może gdzieś być; przytem wiele lasów jest dotąd bagnistych i nieprzeciętych trybami, a zresztą chociażby który, jako myśliwy, na swoją rękę spostrzegłszy ślady rysia, zechciał na niego polować, to w pojedynkę lub we dwóch nic mu nie zrobią, tembardziej bez dobrych ogarów, które zresztą najczęściej rozpoczną gon rysia, a skończą na bielaku; posyłać po więcej myśliwych zadaleko na krótki dzień zimowy, a drugiego dnia ryś zwykle przechodzi w inne knieje.

Albertyńskie lasy są duże, lecz podzielone na kwartały, w części już osuszone, co przy pomocy te-

lefonów i doskonałych dróg, daje możność szybkiego zorganizowania polowania, choćby w kilka strzelb, zebranych ze straży leśnej, na wypadek otropienia; zastrzelenie zaś w inny sposób rysia nazwę tylko przypadkiem.

Jeszcze przed objęciem przezemnie posady w Albertynie zakradł się ryś do zwierzyńca i tam w przeciągu jednej nocy zadusił pięć sztuk sarn i uszedł bezkarnie, chociaż podobno po śniegu.

Co do wilków, to dziwi mnie spostrzeżenie, że po całonocnym, bardzo długim marszu, najczęściej nie kładą się w dzień, tylko stojąc, wypoczywają. Stają nieraz o godz. 9—10 rano, a już o 2—3 ruszają dalej.

Gdym polował 6 lat temu w puszczy Lackiej, sąsiadującej z Białowieżą, na czarnej stopie, najniespodziewaniej drugiem odemnie stanowiskiem przeszedł ryś, lecz znajdujący się tamże rządowy strzelec tak się przestraszył, że nie strzelił, w miocie następnym już go nie było.

Gdybym polował jeszcze kiedy na rysia, to postaram się przesłać opis tego polowania.

Józef Koperkiewicz.

Jakkolwiek sam na rysie nigdy nie polowałem, to jednak wiadomość o zwyczaju tych zwierząt włóczenia się o każdej porze dnia lub nocy, podałem na podstawie świadectwa doskonałych myśliwych litewskich i rosyjskich, którzy mi o tem opowiadali. Zresztą wzgląd ten nie wyklucza bynajmniej możliwości otropienia rysia, a tylko warunkuje trudność i niepewność tego otropienia. Nie twierdziłem bynajmniej, aby ryś nigdy nie zalegał, lecz tylko, że może zaledz o różnych porach dnia. Tak samo i lew, jakkolwiek zwierz przeważnie o nocnych obyczajach, włóczy się jednak często o najrozmaitszych porach dnia. Przypuszczać też można, że ten obyczaj wielkich kotów musi być w związku z udanem lub nieudanem polowaniem nocnem, t. j. że drapieżnika wprost głód zmusza do włóczenia się podczas dnia w poszukiwaniu za upragnioną zdobyczą.

Jan Sztolcman.

Utile dulci.

O ile sobie przypominam, to parę lat temu p. Sztolcman w obszernym artykule gorąco zachęcał naszych myśliwych do zaprowadzenia jamników i foksterierów, aby przy ich pomocy mogli skutecznie tępić lisy, jako największych niszczycieli wszelakiej zwierzyny. Czy nasi myśliwi, uznawszy słuszność wystąpienia p. Sztolcmana, poszli za jego radą, czy też tylko za popędem własnego natchnienia, bo tego powiedzieć nie umiem, — dość, że w ostatnich czasach jakoś częściej można się spotykać z temi pieskami. Objaw to niewątpliwie dodatni i dlatego należałoby w dalszym ciągu nie ustawać w nawoływaniu, to może naśladowców znalazłoby się jeszcze więcej, coby znacznie na zabezpieczenie zwierzyny mogło wpłynąć.

Jak doktór, zalecając choremu emetyk, wypisuje na recepcie „co kwadrans po łyżce, aż do skutku", to tak samo i „Łowiec Polski", jako pismo, dbające o dobro krajowego łowiectwa, rządzić się powinien takąż samą metodą, i zdrową strawę podawać dotąd, aż większość myśliwych uzna ją za pożyteczną. To też powodowany tą zasadą, przychodzę naszemu organowi z pomocą i występuję z przypomnieniem o tych poczciwych pieskach, polecając uwadze myśliwych ich użyteczność. Postaram się wykazać, że jamniki czystej rasy, odpowiednio wychowane i tresowane, mogą nietylko przyjść z pomocą każdemu hodowcy zwierzyny, ale i dostarczyć również wiele przyjemności, czem gardzić nie należy, bo to będzie sowitą nagrodą za trudy, poniesione przy hodowli zwierzyny.

Wyłącznie mówić będę o jamnikach, bo foksterierów dokładnie nie znając, nie mogę o nich wydawać żadnego sądu. Wiem o tej nowej rasie z opowiadań i opisów tyle tylko, że ma być podobno do prześladowania lisów zupełnie odpowiednią, a nawet pod pewnemi względami przewyższać jamniki. O ile to jest słusznem, niechaj kto inny postara się to wykazać, ja bowiem nie czuję się kompetentnym.

Zanim przystąpię do właściwego opisu wychowania i tresury jamników, pierwej widzę potrzebę zboczyć od właściwego przedmiotu, aby przedstawić czytelnikowi pochodzenie moich hodowlanych wiadomości, przez co, jak sądzę, do podstaw, na jakich opierać się będę, nabierze większego zaufania.

W młodych już latach miałem sposobność zapoznawania się z wychowem psów myśliwskich, bo ojciec mój oddawał się z wielkiem zamiłowaniem łowiectwu, a że wtedy o prawidłowem myślistwie jeszcze u nas nie myślano i przytem nie liczono się tak skrupulatnie z wydatkami, przeto do woli używał polowania nietylko z ogarami, chartami, ale i z wyżłem i jamnikami. Były dwie urządzone psiarnie, jedna dla ogarów, a druga dla chartów; tylko wyżły i jamniki cieszyły się zupełną swobodą, a nawet dopuszczane były do przebywania w pokojach. Ojciec rządził się zasadą, że tylko czystego pochodzenia i wyborowych przymiotów starał się psy utrzymywać, na co też pieniędzy nie żałował, a że w młodości uczęszczał do uniwersytetu w Jenie, gdzie był zaprowadzony zwyczaj, iż oprócz zwykłych korporacyj, zamożniejsi studenci jeszcze psy utrzymywali, co należało do dobrego tonu, więc ojciec mój zapisał się do grona studentów, chowających jamniki. Corocznie urządzane tam bywały z wielką pompą konkursa, na które zjeżdżali się zwolennicy tych piesków z całych Niemiec, a właściciele zwycięzców otrzymywali grube nagrody. Ztamtąd więc ojciec mój wywiódł zamiłowanie do jamników, oraz umiejętność ich wychowywania i tresury, co następnie przez całe życie u siebie z powodzeniem stosował, a ja miałem sposobność nauczenia się tego wszystkiego. Oto jest źródło, z którego czerpałem pierwsze moje wiadomości, a teraz w dalszym ciągu dla pożytku ogólnego postaram się je w krótkości opisać, i mam nadzieję, że ci, co pójdą za temi wskazówkami, nabiorą niewątpliwie zamiłowania do jamników, które rzeczywiście, jako użyteczne pieski, na to w zupełności zasługują.

Większość jamników, jakie obecnie w naszym kraju spotykam, z powodu niewłaściwego chowania przez wiele pokoleń, utraciły przymioty, cechujące tę rasę i to jest prawdopodobnie przyczyną, że dotąd wiela tutejszych myśliwych nie może do nich nabrać przekonania. Dlatego też radzę tym, coby chcieli te pieski u siebie zaprowadzać, brać tylko z renomowanego gniazda, odznaczającego się czystością rasy i stwierdzonych przymiotów. Co prawda, rzecz to u nas niełatwa, może jeden p. Oskar Saenger z Pabianic mógłby z kłopotu wyprowadzić, bo do nabywania z zagranicy nie zachęcam, albowiem na zawody narazić to może.

Pamiętając na przestrogę, często powtarzaną przez mojego ojca, że jeśli chcesz mieć dobre charty lub jamniki, to trzymaj się zasady, „że mięso, mięso goni", —to też młode szczenięta, jak tylko dwa miesiące kończyły, zaczynałem zawsze przyuczać do jedzenia surowego mięsa, co niezmiernie dodatnio wpływa na rozwój muskułów, włos nabiera pięknego, lśniącego połysku, a przedewszystkiem potęguje się odwaga, co w tak małych stworzeniach, jakiemi są jamniki, jest niezbędnem, bo ich przeznaczenie jest walka ze

silnym wrogiem, i to w tak trudnych warunkach, jaką jest ciemna, ciasna i głęboka nora.

Tak karmione szczenięta o wiele łżej przechodzą nosacizną, i o ile mnie pamięć nie myli, to w ciągu całej mej wieloletniej praktyki, zaledwie tylko dwa wypadki miałem śmiertelne, co zawdzięczam jedynie temu sposobowi żywienia.

Do pół roku zostawiałem młodym jamniczkom zupełną swobodę, nie broniłem im nigdy kopania w ziemi jamek, do czego zawsze mają skłonność, ale je nawet do tego czynu zachęcałem, bo uważałem, że to wyrabia siłę, a przez częste bawienie się niewyprawną skórą lisią nabierały znowu zajadłości, co jest także pożądanem.

Jak już mieć będą skończonych sześć miesięcy, przystąpić można do nauki chodzenia na sforze, co łatwo przychodzi, jeżeli łączone będą ze staremi, a najlepiej z rodzoną matką, — wszelkich kar unikać, bo cierpliwością i łagodnością wszystkiego dopiąć można.

J. Biesiekierski.

(Dok. nast.)

Sympatye i antypatye u psów.

Wiadomem jest powszechnie, że psy okazują przyjacielskie usposobienie dla ludzi, którzy je lubią; przeciwnie, stronią i wykazują nieufność względem ludzi, nielubiących wogóle zwierząt, a w szczególności — psów. Stosuje się to jednak tylko do usposobienia psów względem ludzi obcych, gdyż do swych panów, którzy je wychowali od młodości, bez względu na to, jak są przez nich traktowane, przywiązują się zawsze i służą im wiernie. Szczególniej obserwować to można na wiejskich kundysach, które często źle żywione, bite i maltretowane, żywią stale i niezmiennie przyjacielskie uczucia względem swych ciemiężców. Wogóle przyjąć można za prawidło, że stopień przywiązania psów do swych panów zależnym jest więcej od ich indywidualnej potrzeby przywiązywania się, aniżeli od sposobu, w jaki są traktowane. Co do osób postronnych, to, jak już nadmieniłem, psy kierują się szczególnym instynktem rozpoznawania przyjaciół swego rodu od ludzi, obawiających się i nielubiących zwierząt. Z pierwszymi oswajają się bardzo prędko, nie raz od pierwszego poznania; względem drugich okazują stale uczucia nieprzyjazne. Jednakże w tej ogólnej zasadzie zdarzają się czasami wyjątki. Moja osoba np. cieszyła się zawsze wielką sympatyą u wszystkich spotykanych psów, i zdarzało się wielokrotnie, że psy, uchodzące za bardzo złe i nieprzystępne, względem mnie były odrazu łaskawe i przyjacielskie. A jednak przypominam sobie dwa psy, które, pomimo, że widywały mnie często i że starałem się oswoić je z sobą, okazywały mi stałą niechęć i uparcie stroniły odemnie. Przyczyny tej nieprzyjaźni wytłómaczyć nie umiem, gdyż obydwa te psy nie były ani dzikie, ani nieprzystępne, a z właścicielami ich żyłem na stopie przyjacielskiej.

Jako zupełne przeciwieństwo powyżej przytoczonej antypatyi, przytoczyć mogę również trudną do wytłómaczenia, pełną poświęcenia przyjaźń, jaką mi okazywał zwyczajny, na pół ledwo oswojony, mołdawski kundys. Był to pies średniej wielkości i niezwykłej brzydoty; mordę miał ostrą, uszki małe, zwieszone ku przodowi, jak u foksterierów; na karku i szyi szerść długą, prostą i twardą, na reszcie ciała dość krótką; ogon miał dość kiciasty i tak obciążony kołtunami, że nie mógł go podnosić do góry; maści był brudno-białej z dużemi, czarniawemi łatami. Właścicielka domu we wsi Katiużeny, w którym byłem zmuszony mieszkać przez jedno lato, opowiadała mi, że pies ten przed 3-ma, czy 4-ma laty przybłąkał się do niej, jako dobrze już wyrosły szczeniak, a że w owym czasie pozdychały jej psy stare, pozwoliła mu łaskawie zająć ich miejsce i obowiązki stróża. Za to miał prawo leżyć w garści zgniłej słomy, pod otwartą szopą i w rzadkich odstępach czasu wyrzucano mu resztki skwaśniałej i na nic już nie potrzebnej mamałygi, czyli lemieszki z kukurydzowej mąki. Pozatem żywił się odchodami ludzkiemi, chrząszczami i opadłemi z drzew, niedojrzałemi lub też zgniłemi owocami. Syty bywał tylko w rzadkich wypadkach, kiedy wywleczono na wygon pod wsią zdechłego konia lub wołu i kiedy zdążył dość wcześnie na taką ucztę, wobec licznej konkurencyi innych kundysów. Gospodyni bardzo chwaliła „Arbuza“ (tak go nazywano) za jego niezmordowaną czujność i poświęcenie, z jakiem bronił jej dobytku, ale skarżyła się, że z powodu dzikości i ponurego charakteru, nie pozwalał nikomu dotykać się do siebie i raz nawet wnuczka jej, który go chciał pogłaskać, boleśnie ukąsił w rękę. Na mnie „Arbuz“ od pierwszego dnia zdawał się nie zwracać żadnej uwagi; widocznie odrazu uznał mnie za domownika, więc nie szczekał na mnie, ale też i nie witał, ani podchodził blizko. Zdjęty litością nad tym wiecznie wygłodzonym psem, wyrzucałem mu czasem przez okno jakąś kość, lub kawał zeschniętego chleba, które on chwytał łapczywie i nosił dla spożycia na swój barłóg pod szopą.

Takie stosunki trwały około trzech tygodni. Pewnego popołudnia siedziałem na ganku przed domem, czytając książkę. Zupełnie niespodzianie „Arbuz“ podszedł blizko, usiadł na zadzie o kilka kroków odemnie i zaczął mi się przyglądać, pochylając łeb to na jedną, to na drugą stronę, mrużąc od czasu do czasu oczy i zamiatając zwolna podłogę kołtunami ogona. Myśląc, że to żebranina o kawałek chleba, a nie mając nic do ofiarowania, czytałem dalej, mało zwracając na psa uwagi. „Arbuz“ tymczasem przysuwał się zwolna coraz bliżej; w końcu znalazł się przy samych moich nogach, a łeb położył mi na kolana. Zdziwiony taką poufałością, położyłem mu rękę na łbie, a następnie zacząłem go głaskać i klepać; pies nietylko że się tem nie obrażał, ale przeciwnie, objawił swą radość głośnem sapaniem i przyspieszonem kręceniem kołtunistego ogona. Chwila ta była jakby zwrotną w stosunkach moich z „Arbuzem“. Odtąd zaczęła się między nami nierozłączona przyjaźń.

A. Sztolcman.

(Dok. nast.).

WĘDRÓWKI PTAKÓW

Przenoszenie się ptaków w porze jesiennej do cieplejszych krajów objaśnia się dwiema przyczynami: niedostatkiem pożywienia i ciepła. Ta ostatnia jest ważniejsza. Ptak z natury jest dzieckiem światła i ciepła, upierzenie jego jest bardzo czułe na zimno; ptak zresztą nie zna snu zimowego, będącego dla wielu zwierząt ssących prezerwatywą przeciwko szkodliwym wpływom mrozów. Dla większej części ptaków zmiana klimatu jest warunkiem życia.

Przez długi czas szlaki, któremi ptaki ciągną do leż zimowych, były dla uczonych zagadką; dopiero badacz szwedzki, Palmen, przekonał się, że ptaki w podróży trzymają się kierunków stałych i niezmiennych. Ciągną one przez morza i wzdłuż jego wybrzeży, lub w kierunku rzek i ich brzegów.

Szerokim gościńcem napływają one z dalekiej północy, przez Nową Ziemię do morza Północnego, zkąd dostają się do zatoki Fińskiej. Wielokrotnie dzie-

ląc się i łącząc, płyną dwiema odnogami wzdłuż szwedzkich i niemieckich wybrzeży morza Wschodniego, przecinają półwysep Duński i znów się rozdzielają. Podczas, gdy jedna część trzyma się wybrzeży atlantyckich — Francyi i Hiszpahii, by z emigrantami z Anglii dostać się do Afryki, druga podąża dalej lądem. Wytycznemi dla nich są rzeki, jak Ren, Mozela, Saona. W okolicach Alp znów się rozdzielają: słabsze gatunki, dla których wysokość gór jest zaporą, okrążając je, zbaczają na zachód, silniejsze puszczają się przez Alpy; po tym rozdziale, następuje znowu spotkanie w dolinie Padu.

Z innych szlaków środkowej Europy zaznaczyć należy Elbę, Odrę, Wisłę. Emigranci z tych okolic, ciągnąc w górę rzek, dostają się następnie na niziny bawarskie, a ztąd do doliny Dunaju. Ten prowadzi ich już do południowo-wschodniej Europy.

Prawdopodobnie kierownikami ptaków w podróży są panujące prądy powietrzne i doświadczenie. Zatem ostatniem przemawia samo uorganizowanie tych powietrznych karawan, polegające na zupełnej uległości młodszych i mniej doświadczonych ptaków starszym i bardziej obytym z podróżą, ich przewodnikom.

Przyznając ptakom nadzwyczaj subtelną pamięć lokalną, wysoko rozwinięte narzędzia zmysłowe, a w szczególności oko, bez kwestyi podziwiać wypada samo zjawisko wędrówek, dla objaśnienia ich jednak nie należy uciekać się do sił nadprzyrodzonych. Jest to nawyknienie, wywołane pierwiastkowo zmianą klimatu w naszych okolicach, które z biegiem czasu przeszło w naturę ptaka.

Kwestyą tą zajęli się w ostatnich czasach liczni badacze, a między nimi tacy znawcy życia skrzydlatej rzeszy, jak bracia Müller. Niedawno także pisał o tem S. Krauz, który zaznacza między innemi: „Wielu ornitologów uważa za jedyną przyczynę, skłaniającą niektóre gatunki ptaków do peryodycznych wędrówek, brak żywności w porze zimowej, nie uwzględniając przytem różnicy, jaka istnieje pomiędzy przesuwaniami się ptasich gromad z miejsca na miejsce i peryodycznemi odlotami i powrotami, jakie odbywają bociany, kukułki i wiele innych ptaków. Przechodzenie z miejsca, ogołoconego z pożywienia, na miejsce bogate w nie, jest zjawiskiem, którego nie należy utożsamiać z peryodycznemi wędrówkami na wiosnę i jesień. W krajach południowych, gdzie lubiące ciepło i słońce ptaki, zawsze znajdują te warunki w dostatniej ilości, nie mamy zjawiska peryodycznych odlotów i przylotów. W naszym klimacie, z nastaniem dni jesiennych, ptaki te nie znalazłyby dość ciepła i dlatego przedewszystkiem szukają go w cieplejszych krajach. Dość na dowód powiedzieć, że zbierające się w podróże ptaki są doskonale odżywione, tłuste, zadowolone z obfitego pokarmu, jakiego im jesień nasza dostarcza. A jednak odlatują! Nie brak pożywienia budzi w ptasich głowach wspomnienie dalekich krain i chęć powrotu do nich, lecz obraz jasnego, niezasłoniętego jesiennemi chmurami słońca, które tak mile grzeje. Już w sierpniu ocean powietrzny nad naszemi głowami zaczyna przecinać prąd chłodny, od bieguna idący. Te wiatry, północny, północno-wschodni i północno-zachodni ostrzegają skrzydlate rzesze o nadchodzącej porze chłodu i śniegu i każą im pomyśleć o dalekiej podróży, choć stoły jeszcze suto pokarmem zastawione. Odwrotnie, gdy wiosna się zaczyna, płyną w nasze strony prądy ciepłe, muskają wędrowców opierzonych i budzą w nich wspomnienia gniazd rodzinnych i chęć powrotu do nich. W ten sposób możemy sobie wytłómaczyć powstanie wędrówki peryodycznej u pradziadów naszych bocianów i innych ptaków wędrownych. Następne pokolenia odziedziczają ten popęd i utrwalają go, jako stały swój atrybut. Jako czynniki pomocnicze, należy wymienić nader wrażliwy system nerwowy ptaków, podlegający najdrobniejszym zmianom atmosferycznym, oraz bardzo czuły zmysł miejsca, pozwalający im po upływie miesięcy rozpoznać drzewo lub dach, zamieszkiwany przez nich w porze letnich godów.

Ptaki wędrowne odbywają więc swe podróże, kierując się prądami powietrznemi, nigdy nie podróżują po nad prąd. Dzięki temu, mogą przelatywać ogromne przestrzenie z zadziwiającą szybkością. Według Gätkego, niektóre ptaki są w stanie przebyć przestrzeń, dzielącą Grenlandyę od Helgolandu, w przeciągu 12 — 16 godzin. Są ptaki, które odbywają podróż od środkowej Europy do Afryki w jeden dzień. Za dowód może służyć fakt znalezienia w żołądku kukułki niestrawionych owoców rośliny, znajdującej się tylko w Afryce. A trzeba wiedzieć, że kukułki trawią bardzo szybko. (Ornitolog. Monatschrift) — Ogromna szybkość lotu ptaków, podczas ich rocznych wędrówek, zdaje się możliwą, właśnie w wysokich warstwach atmosfery, w których te wędrówki się odbywają, według twierdzenia braci Müller. W tych wysokościach atmosfera jest rzadką i nie stawia lotowi dużych przeszkód. Z drugiej zaś strony rozrzedzenie atmosfery wymaga od ptaków, przecinających ich na tych wysokościach, ogromnie szybkiego lotu. Tylko podczas bardzo szybkiego lotu w płucach ptaka może się zgęścić powietrza dosyć do oddychania, a właściwie tlenu z rozrzedzonego powietrza. Dowodzą tego doświadczenia aeronautów z gołębiami na wysokości 7—8 tysięcy metrów. Na tej wysokości, wzięte gołębie popadały w stan ospałości wskutek braku dostatecznej ilości tlenu; jeżeli jednak gołębie te puszczono i pozwolono im latać, odzyskiwały czynność ruchów i z szaloną szybkością uciekały w stronę ziemi. Powyżej przytoczone zdanie Müllerów o nader znacznej wysokości lotu ptaków podczas wędrówek, napotkało w ostatnich czasach zdanie przeciwne Lucanusa, który zwraca uwagę na fakt, że wszyscy aeronauci twierdzą zgodnie, iż bardzo rzadko spotyka się ptaki powyżej 400 metrów i że gołębie pocztowe, wypuszczone na wysokości 1,600 metrów, wcale prawie nie mogą fruwać. Te sprzeczności są jednak pozorne tylko. Że wyżej 400 metrów rzadko się ptaki spotyka w zwykłym czasie, to niczego nie dowodzi, wędrówka jesienna lub wiosenna jest dla ptaków zdarzeniem niecodziennem i wtedy robią one wyjątek od zwykłego prawidła niskiego dosyć lotu. Wyjątek ten robią zapewne właśnie dla ułatwienia sobie szybkości lotu. Gołąb wypuszczony odrazu na znacznej wysokości, nie może fruwać, lecz gdy sam stopniowo do tej wysokości się wzbije to, inna sprawa: wtedy musi nawet szybko latać, aby dostatecznie zgęścić w swych płucach, rozrzedzone na tej wysokości, powietrze.

Śmiałość sowy.

Podaję poniżej opisane zdarzenie, jako dowód niezwykłej śmiałości sowy.

Kilka lat temu, w końcu lipca, czy też na początku sierpnia, bo dokładnie nie pamiętam, stróż, którego obowiązkiem było strzeżenie pałacu, żalił się, że go nocną porą od strony parku napada jakiś duży ptak, od którego musi się aż kijem obraniać, a że to był człowieczyna, lubiący się z prawdą mijać, więc opowiadanie jego mimo uszu puściłem. W kilka dni potem, żona moja wyszła wieczorem na przechadzkę i w pobliżu pałacu napadniętą została przez tego tajemniczego ptaka, przyczem odniosła dość mocne podrapania po twarzy i nosie. Na drugi dzień po dokładnem wypytaniu się, wziąłem broń i do pomocy zawezwawszy sprytnego ogrodniczka, udałem się na miejsce wypadku. Na jednym z rozłożystych świerków udało mi się upatrzeć parkę sów średniej wielkości, obok siebie siedzącą, a nieco opodal trzecią, ale

znacznie większą. Chociaż, jako rolnik, jestem zwolennikiem tych pożytecznych ptaków, zmuszony byłem wszystkie trzy zabić, aby uchronić ludzi od wypadku postradania oka, co łatwo zdarzyć się mogło. Tak więc za śmiałą opiekę stawania w obronie swojego potomstwa, przypłaciła życie nietylko troskliwa matka, ale i jej niewinne dzieci.

O ile moje wiadomości ornitologiczne pozwalają, przypuszczam, że sowa, o której wspominam, był to puszczyk (*Strix aluco*).

J. Biesiekierski.

Jeszcze nieco o śrócie niklowanym.

Dwa lata temu pisałem w „Łowcu Polskim" o zaletach śrótu niklowanego. Podówczas doświadczenia moje odnosiły się do śrótu drobnego Nr. 5, którego wybornych własności doświadczyłem na zwierzynie, niegrubszej nad zająca i cietrzewia. Obecnie zaś jestem w możności udzielenia czytelnikom naszym wskazówek działania takiego śrótu grubego, na grubszej zwierzynie, mianowicie na dziku.

W d. 1 stycznia byłem na polowaniu w majątku Biesidinga (pow. włodzimierski); mróz dochodził do 10 stopni, ale że pogoda była piękna, zatem, nie licząc mężczyzn, w polowaniu przyjmowała udział dama, pani Z.

Po wzięciu paru miotów kolej przyszła na jeden, w którym, jak twierdziła miejscowa straż leśna, oprócz zajęcy, niczego więcej spodziewać się nie należało. Jakież zatem było moje zdziwienie, kiedy stojąc na drodze, niczem niezasłoniętej, ujrzałem idącego na mnie na sztych dzika, w kierunku do linii strzelców nieco skośnym. Jak się pokazało później, z początku szedł on w kierunku sąsiadki mojej, pani Z., która spostrzegłszy go, poruszyła się, i wówczas dzik skierował się na mnie.

Pierwszą myślą moją było zmienić ładunki śrótowe na kule, które zwykle noszę w kieszeni kożuszka. Ale musiałem tego zaniechać: dzik był niedaleko; nadto szedł on przez roślinę niezbyt gęstą i najmniejszy mój ruch mógł go spłoszyć. To też ścisnąłem tylko mocniej strzelbę i czekałem.

Dzik przyszedł do mnie na jakie 20 kroków, i spostrzegłszy, rzucił się w bok; wtedy strzeliłem do niego, mierząc na komorę, raz na 20, drugi raz na 30 kroków mniej więcej. Dzik galopem przebiegł pomiędzy mną a sąsiadem moim z lewej strony, który strzelił do niego, kiedy przeskakiwał przez drogę. Będąc przekonany, że dzik jest ciężko ranny, jakkolwiek strzelany tylko śrótem, podszedłem do sąsiada, który zawołał, że dzik leży. Trafił on go nieszkodliwie 4 czy 5 śrócinami w prawy bok, moje zaś obydwa strzały dane były do lewego; kiedyśmy do niego podeszli, dzik już nie żył. Farby na tropie nie było ani kropli; od miejsca, gdzie go strzelałem, szedł z jakie 120 kroków. Był to spory wycinek wagi 6 pudów, o kłach, wystających na jakie $1^{1}/_{2}$ cala.

Jak się okazało później, dostał on odemnie 32 ziarna; płuca były rozstrzelane, jak sito, zaś 8 ziarn przebiło go na wskroś i zatrzymało się pod samą skórą z przeciwnej strony. Strzelałem do niego śrótem Nr. 4 *B* niklowanym, średnicy 5 mm., którego na nabój 35-gramowy, jakiego zwykle używam, idzie 47 ziarn. Ładunek prochu 33 gran. ($46^{1}/_{2}$ doli) prochu „Sokół" w prawej lufie i tyleż prochu „Liszewa" w lewej. Pokazuje się tedy, że tym śrótem przy dobrze zrobionym ładunku, można skutecznie strzelać najgrubszą zwierzynę, jaką się nasze bory poszczycić mogą.

Ten sam śrót kozła przebija na wylot nawet na dalsze mety.

J. Konczewski.

Oryginalna przygoda.

W drugiej połowie stycznia r. b. kilku nas wybrało się na dziki. Pogoda była ładna, ale ponowa marna, tak, że dość licznie rozesłana straż leśna, po długich poszukiwaniach przyniosła niewesołą nowinę, że dziki wyszły.

Nie pozostało, jak tylko, wziąwszy parę miotów na zające, rozjechać się do domów, z leśniczówki, stanowiącej punkt zborny.

Noc była ciemna i trochę dżdżysta, pomimo tego zdecydowaliśmy się wyruszyć w drogę.

Woźnica mój zabrał kuferek z rzeczami, aby go umieścić na wózku. Ponieważ nie wracał dość długo, wyszedłem po niego, aby zabrał resztę. Ale na moje wołanie otrzymałem odpowiedź: „Pański człowiek wpadł do studni". Pokazało się, że istotnie pokrzepiwszy się wódką cokolwiek za obficie, po ciemku trafił na studnię, szczęściem niegłębszą nad 9—10 łokci, i ulokował się w niej razem z moim kuferkiem.

Wody tam nie było wyżej, jak do pasa, a że ludzie byli tuż obok, zatem przemokłego do nitki wyciągnęli zaraz. Gorzej było z kuferkiem, gdzie oprócz ubrania miałem ładunki do śrótówki i ekspresu.

Trzeba było do studni spuszczać drabinę, i kiedy nakoniec udało się go wyłowić, okazało się, że wszystko zamokło.

Dziwnym trafem niefortunny automedon nawet guza nie oberwał i ulokowany na ciepłym piecu, wkrótce odzyskał równowagę, bo zimna kąpiel orzeźwiła go znakomicie, ale o wyjeździe tego dnia nie mogło być mowy, z powodu konieczności osuszenia zamokniętych rzeczy i odzieży jego.

Ekspresowe ładunki, jako metalowe, nie ucierpiały wcale; ze śrótowych trzeba było śrót wysypać, ponieważ okazało się, że przybitki Eleya różowe na śrót, których zwykle używam, obok wszystkich swoich zalet, łatwo przemakają, tak, że woda dostała się do śrótu prawie we wszystkich ładunkach. Proch, osłonięty grubemi, tłuszczowemi przybitkami, nie zamokł wcale, podobnie jak pistony Gevelota; gilzy do *bezdymnego prochu* (czerwone) Rusko-belgijskiego Towarzystwa wytrzymały wodną próbę doskonale, bo nawet nie spęczniały wcale, jakkolwiek były pod wodą dobre pół godziny.

Aby zatem przybitki na śrót, o których wyżej, ochronić od wilgoci, trzeba będzie, po zakręceniu ładunku, przybitki powlekać po wierzchu czemś nieprzemakalnem, jak parafina ze stearyną, lub też łój z woskiem, inaczej, wpadłszy do wody, co myśliwym na błotach łatwo się trafić może, ładunki mogą zamoknąć.

J. Konczewski.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

San Remo, *5 kwietnia.*

Donoszę Wam, że syn mój, Stanisław, zabił d. 6 marca pysznego tygrysa bengalskiego w górach Santal, o 40 mil angielskich na południo-zachód od Rajgangpur, w prowincyi Calcutta. Zrobił najprzód 40 mil angielskich pieszo

przez straszną dżunglę, doszedł do misyi katolickiej belgijskiej wśród pustyni i tam trzy noce z kozą czatował na dzikiego zwierza, ale bezowocnie. Potem trzy dni naganek ze 150 do 200 zupełnie nagimi krajowcami szczepu Uriasów, strasznie cuchnącymi i wreszcie szóstego dnia po dwóch bezowocnych nagankach zoczył schodzącego ze skały prosto ku niemu, majestatycznego tygrysa. Strzelił na 40 kroków z pożyczonego sztucera cal. 577. Tygrys ryknął i w gąszczu uszedł. Dopiero o 150 kroków od strzału była kropelka farby, a o 300 kroków tygrys leżał martwy, ze sercem, wątrobą i płucami przestrzelonemi przez tę samą kulę. Cały dzień następny obdzierał tygrysa ze skóry i popiołem nacierał. Jest to niezmiernie rzadki wypadek myśliwski, by ktoś *pieszo*, z naganką z *ludzi* tylko złożoną, tygrysa zabił.

Adam hr. Sierakowski.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myśliistwa.

Posiedzenie Rady, 4 kwietnia. Członek naszego Oddziału, p. Józef Skibiński, przedstawił do nagrody strażnika ziemskiego z nowomińskiego powiatu, Krupicza, jako gorliwie zajmującego się tępieniem kłusownictwa. Odebrał on w ciągu roku 11 sztuk broni i pociągnął winnych do odpowiedzialności sądowej. Rada postanowiła dać mu 10 rubli nagrody.

Kółko Izdebskie prosi o urządzenie miejsca ochronnego na dzierżawionych przez Kółko terenach i ustanowienia stróża, a jako kandydata przedstawia Adama Lewickiego. Postanowiono miejsce ochronne urządzić, a o kandydacie na stróża zasięgnąć opinii.

P. Białkowski, dzierżawiący polowania na Popowie p. Skarzyńskiego, proponuje Towarzystwu odstąpienie pięcioletniego kontraktu. Dzierżawa obejmuje 700 włók, w tem 300 włók lasu. Rada przekazała tę sprawę Wydziałowi Ochrony i Polowań, który ze swej strony może wynajdzie wśród Członków Oddziału potrzebujących odpowiedniego terenu.

P. Adam Michalski prostuje daty podanego wykazu zabitej zwierzyny w Borownie. Wykaz ten obejmuje czas od 1/X 1904 do 1/II 1906 r., a nie 1905.

Grono Członków domaga się zniesienia zakazu, ograniczającego możność wprowadzania gościa do lokalu Towarzystwa tylko trzy razy w ciągu roku. Rada, zważywszy wszystkie za i przeciw, przytoczone we wniosku, który ma być przedstawiony Ogólnemu Zebraniu, postanowiła zawiesić działanie § 2 przepisów wewnętrznego porządku i pozwolić na wprowadzenie gości bez ograniczenia ilości razy w roku, a cenę wejścia podwyższyć do 50 kop. Zarządzenie to jest tylko czasowe, wniosek bowiem będzie przedstawiony Ogólnemu Zebraniu, które go przyjmie lub odrzuci.

Drobiazgi myśliwskie.

Przewoz psow. Według świeżo ogłoszonych przepisów ministeryalnych, psy mogą być przewożone pociągami towarowemi w klatkach lub bez nich. W pierwszym wypadku obecność dozorcy nie jest wymagana, w drugim zaś psy powinny posiadać kagańce i sznurek dla przywiązania, a nadto potrzebny jest dozorca. Obowiązek karmienia i pojenia psów w drodze ciąży na właścicielu psów. Psy, po przybyciu na stacyę przeznaczenia, powinny być zabrane najpóźniej w 24 godziny.

Złe widoki. P. Stephan pisze nam z Chojnowa, pod Piasecznem: Fatalny marzec niszczył młode zajączki masowo, a i stare samice wskutek tego dziesiątkował. W Chojnowie stwierdzono kilka wypadków śmierci samic na zapalenie gruczołów mlecznych.

25-lecie myślistwa na Morawach. Odstrzelenie jeleni powiększyło się tutaj przez ten czas podwójnie: w r. 1881 wynosiło 534 sztuk, a obecnie 1,068. Danieli jest stosunek podobny (344 i 738). U dzików nie zaszła większa różnica; liczba bowiem wynosiła rocznie od 300 do 400. Wymowne są cyfry co do sarn, których odstrzał pomnożył się trzykrotnie (od 5,651 do 15,892 sztuk w ostatnim roku). Również wzrosła liczba zajęcy, która wynosi obecnie 397,211 sztuk, czyli dwa razy więcej, niż w r. 1881. Liche były lata 1886 i 1895, gdy padło tylko około 150,000 zajęcy. Królików padło w r. 1881 zaledwie 6,940, a teraz aż 40,418, a przytem były jeszcze lata 1898 i 1899, kiedy liczba ta dochodziła do 60,000 i 50,000. Odstrzelenie głuszców, cietrzewi i jarząbków wzrasta powoli, a wynosi rocznie 50 głuszców, 500 cietrzewi i 350 jarząbków. W ostatnim roku padło tam znowu 8 pardw i 54 kuropatw skalnych, ptaków, będących wielką rzadkością w tych stronach. Odstrzał bażantów powiększył się w trójnasób i dochodzi teraz do 51,441 sztuk. Stosunek kuropatw jest dwukrotnie większy; wyjątkowo dobre lata były 1899 i 1903, gdy liczba przekroczyła 50,000, co przedstawia wartość ćwierci miliona koron samej dziczyzny. Znamienne są liczby, dotyczące przepiórek i słonek nietylko dla myśliwego, ale i dla ornitologa. Odstrzał bowiem przepiórek spadał powoli aż do roku 1900, gdy wynosił 7,512 sztuk; od tego roku zaś zaczął wzrastać i doszedł obecnie do 17,052. I liczba słonek wzrastać zaczęła dopiero od tego czasu, wynosząc obecnie 3,080 sztuk. Liczba bekasów powiększyła się od 150 do 350. Spadła natomiast liczba dzikich gęsi, która wahała się między 20 a 200 rocznie. Kaczki dzikie od 2,000 do 3,000 wzrosły; wyjątki były lata 1896, 7 i 8, gdy odstrzał wynosił 5,868, 8,986 i 11,116, wreszcie, po znacznem spadaniu, liczba podniosła się znowu w ostatnim roku do 15,173. Przez 25 lat ubito 2 niedźwiedzie w r. 1885 i 1886; 1 wilka w 1892. Rysiów ubito rocznie od 1 do 3 sztuk. Lisów liczba wzrastała stale od 973 do 1,500; podobnież przedstawia się liczba kun i tchórzy. Liczba żbików wzrosła od 1 do 145 rocznie (!). Umiarkowanie wygląda liczba borsuków i wydr. Puhacze i orły mają liczby bardzo nierówne: jednego roku było ich 8, drugiego 167, to znowu 551.

Wpływ łagodnej zimy na mnożenie się zwierzyny był bardzo znaczny w Niemczech. W końcu grudnia znajdowano tam gniazda kuropatw z jajami. Zarazem jednak rozmnożyły się z tego powodu bardzo znacznie myszy, grożąc nawet pewnem niebezpieczeństwem. Natomiast pogoda ciepła w r. 1905 miała wpływ dodatni na sarny, u których zanikły prawie zupełnie choroby żołądkowe, mimo że one w roku poprzednim wyrządziły znaczne straty w sarnostanie. Przyczyną tych chorób były robaki *Strongylidae contortus*, których największym wrogiem jest łagodna, sucha pogoda.

Zestawienie prochów małodymnych. Liczba obecnie używanych prochów jest bardzo znaczna, dochodzi bowiem do 200 gatunków. Omówienie różnych prochów jest dla fachowców nawet zadaniem bardzo ciężkiem, a dla myśliwych i puszkarzy rzeczą niemożliwą. Zestawienie przeto poniższe jest nietylko bardzo interesujące, lecz także nadzwyczaj pouczające. Podług tego zestawienia najbardziej używane są prochy następujących krajów i gatunków:

Niemcy: Schultze, Sonnenmarke (Walsroder), Haslocher, Rottweiler 1293, 1032/1, 1930a, 983/7, 1025/1, C/89 (1), C/89 (4×4×1), C/93 (108×6/3), Troisdorfer, Berliński proch myśliwski.

Szwajcarya: Vetterli, Ordonnanz.

Holandya: Proch myśliwski *E. C.* Hetzbacher, Troisdorfer Nr. 6, 39, 48, Schradera proch mieszany; militarny.

Szwecya: Normal.

Austrya: Militarny, myśliwski 1 i 2.

Włochy: Randite, Eureke, Ordonnanz.

Belgia: Muellerite I i II. Coopal 2, Coopal 1 *rose*, 1 *bleue*, 1 *grise*; Chermonite *rose* i *grise*.

Anglia: Imperial-Schultze, Schultze; *E. C.*; Amberite; Kynach Sporting Powder; Nobles Smokless Powder Cannonite; Cordite; Riflite; Ballistite.

Francya: *B.* N. 3 *F.* do nabojów kulowych, *T.* dla nabojów śrótowych, *T. bis* dla nabojów rewolwerowych; proch myśliwski *J* Nr. 2; *R*; *M*; S Nr. 1.

Francuska wystawa psow. *„Société canine de l'Est"* (Związek kinologiczny w Nancy) urządza w parku miejscowym „La Pépinière" międzynarodową wystawę psów od 14 do 17 czerwca r. b., podczas której odbędzie się także kongres myśliwski.

Szkodnik! W lesie miejskim pod Koblencyą znaleziono 13 sarn, pogryzionych na śmierć przez włóczące się psy.

Niezwykły wypadek. Pod Wrocławiem trzech myśliwych polowało na jelenie. Jeden z myśliwych wystrzelił tak nieszczęśliwie, że ciężko poranił obu towarzyszów odrazu.

Wojna i bażanty. Godna uwagi zmiana ojczyzny przez bażanty dała się zauważyć w Azyi Wschodniej. Podczas wojny na Dalekim Wschodzie zjawiły się te ptaki w wielkiej liczbie w okręgu nerczyńskim. Przypuszczają ogólnie, że uciekły one z niespokojnej, wskutek działań wojennych, Mandżuryi. Nerczyńskie Towarzystwo polowania wyraża nadzieję, że bażanty dadzą się zaaklimatyzować w okolicach Nerczyńska.

Cło na strusie. Wskutek uchwalonego w d. 8-ym września 1905 r. prawa myśliwskiego w Transwaalu, postanowiono nałożyć cło na wywożone z tego kraju strusie i ich jaja. Wysokość opłaty wynosi za 100 sztuk jaj, albo za jednego strusia, 5 funtów szterlingów. Cła tego nie opłaca się, wywożąc do innej kolonii, albo wogóle na terytoryum południowo-afrykańskie, w których również obowiązuje cło za wywóz do Europy, Ameryki lub Azyi.

Przodkowie słonia. W londyńskiem Muzeum Historyi Naturalnej wystawiono świeżo modele czaszek dwóch zwierząt, które słusznie uważać należy za protoplastów dzisiejszego słonia. Szczątki tych czaszek znalezione zostały w pustyni Egipskiej przez dra C. W. Andrews'a i pochodzą z warstw eoceńskich. Jedno z tych zwierząt, nazwane *Moeritherium*, pochodzi ze średniego eocenu. Czaszka jego mierzy zaledwie jedną stopę długości i posiada pełną seryę przednich zębów w górnej szczęce; druga para tych zębów jest wydłużona i skierowana naprzód, jak kły u słonia. Czaszka drugiego zwierzęcia, zw. *Palaeomastodon*, pochodzi z górnych warstw eocenu i mierzy około yarda (91 centym.) długości, a zawiera tylko po jednej parze przednich zębów w każdej szczęce, przyczem zęby górnej szczęki tworzą już prawdziwe kły.

W Indyach angielskich. Śmiertelność wskutek wężów i zwierząt drapieżnych w Indyach angielskich sprawia dużo kłopotu tamtejszym władzom. Wiadomo, że co rok duża liczba ludzi i zwierząt ginie tam od ukąszeń jadowitych wężów, lub w pazurach tygrysów, panter i t. p., lecz podane świeżo liczby przechodzą wszelkie wyobrażenie. W r. 1903 zginęło w ten sposób 24,576 osób i 92,226 sztuk bydła. A trzeba wziąć pod uwagę, że te liczby zebrano tylko z części Indyj, podległych Anglii; w innych częściach, których ludność wynosi około 62 milionów, straty te są zapewne jeszcze większe. Z 24,756 osób znalazło śmierć od jadowitych ukąszeń 21,828 — reszta w szponach drapieżników, z których największą liczbę ofiar zabiera tygrys, po nim pantera, wilki i niedźwiedzie. Trudne jest położenie władz angielskich w walce z tą prawdziwą plagą. Ogłaszają one nagrody za tępienie drapieżnych zwierząt i jadowitych gadów, z każdym rokiem zwiększa się liczba wytępionych zwierząt, lecz liczba ofiar się nie zmniejsza. Dużą przeszkodę w tej walce są religijne przesądy krajowców, którzy uważają niektóre zwierzęta i gady za święte i nietykalne, np. straszną Cobrę.

W objęciach lwa. Straszną śmiercią wydawałoby się naprzykład pożarcie przez dzikiego zwierza. Jakkolwiek to wydać się może dziwnem, autentyczne świadectwa i bezpośrednie spostrzeżenia nie malują tej śmierci w grozie tragicznej. Słynny podróżnik Livingstone znajdował się raz w objęciach lwa. Oto, co o tej przykrości mówi: „Lew skoczył mi na ramię i wtedy upadliśmy obaj; to uderzenie wprowadziło mnie w osłupienie; był to, jakby stan senny, w którym nie daje się czuć ani ból, ani strach, jakkolwiek umysł zdaje sobie jasno sprawę z położenia. Zapomniałem jakby o strachu i przyglądałem się prawie ze spokojem strasznemu zwierzęciu". Liczni myśliwcy, którzy się ocalili z uścisków podobnych, mówią, że kiedy zwierz zapuścił zęby lub pazury w ich ciało, nie odczuwali wcale bólu; raczej miłe jakieś osłabienie, kończące się utratą przytomności. Tak samo na wojnie raniony nie odczuwa rany swej, a zabity nie zdaje sobie sprawy, że to koniec. Przeszyty kilkoma kulami pod Daszicao, gen. Keller rzekł do ratujących go: „Dajcie pokój, dobrze... dobrze..." Kula robi wrażenie jakby drapnięcia. Zwykły to widok, że ciężko ranieni, przez parę minut jeszcze pędzą, wdzierają się, strzelają, biją się.

Ratowanie bizonow. W Nowym Jorku utworzyło się towarzystwo p. t. „American Bisson Society" pod przewodnictwem dyrektora miejscowego ogrodu zoologicznego, Honday'a, w celu ochrony bizonów od zagłady. W tym celu ma się założyć ogromną fermę w obwodzie Oklahoma, gdzie będą przebywały nabyte bawoły. Nowojorski ogród zoologiczny chce w tym celu odstąpić 15 sztuk, ponieważ w ciasnem pomieszczeniu grozi im wymarcie. Prezydent Roosevelt zainteresował się tym projektem i obiecał wpłynąć na kongres, ażeby przeznaczył pewną sumę na urzeczywistnienie planu.

Polowanie na zięby. Późną jesienią i zimą odbywa się w niektórych prowincyach nadreńskich polowanie na zięby, łuszczaki górskie (*Fringilla montrifringilla*) w ten sposób, że w nocy ubija się je przy świetle latarń i pochodni. W polowaniu, zastrzeżonem przez jakieś dawne prawo, biorą udział wszyscy wieśniacy. Za tłuste sztuki smakosze płacą bardzo sowicie. W sezonie ubiegłym połów był szczególnie obfity.

Niebieskie lisy w Norwegii. Pewien Norwegczyk, który zrobił majątek w krainie złota, w Klondike, powraca latem r. b. do ojczyzny i, jak zapowiedział, przywozi ze sobą niebieskie lisy z Alaski, by je w Norwegii zaaklimatyzować. W tym celu zakupił już małą wysepkę, w pobliżu Stangnoweru. Niebieskie lisy mnożą się szybko, a klimat norweski ma być dla nich odpowiedni.

Wiewiórcze gniazda pułapki. Badacz życia wiewiórek, Wemer z Westfalii, podaje ciekawe szczegóły o budowie ich gniazd. Wemer odróżnia trzy formy gniazd wiewiórczych: gniazda główne, mocno zbudowane, gniazda zapasowe i gniazda tymczasowe, służąca do chwilowego spoczynku wśród liści drzew. Otóż, oglądając gniazda główne, Wemer zauważył w ich budowie pewien szczegół, dający do myślenia. Mianowicie były one przedzielone ścianką na dwie komory, a u tej ścianki wisiała jakby klapa z liści i mchu. Trzeba zaś wiedzieć, że niektóre małe ptaszki szukają nieraz w wiewiórczych gniazdach schronienia. W gniazdach tych znajdywał Wemer piórka różnych ptaków. Szczegóły te wzbudziły w nim podejrzenie, czy czasem gniazdka swego nie używa wiewiórka, jako pułapki na ptaki, szukające tam schronienia? Po wielu usiłowaniach, udało się złapać wiewiórkę na gorącym uczynku, jak czyhała na ptaszki

i w gnieździe swem je zamordowała. Werner zbadał zawartość żołądków 96 wiewiórek i w 57 wypadkach znalazł tam resztki ptaków.

Politykująca zwierzyna. Z dowcipów „Kuryera Świątecznego" przytaczamy niektóre z ostatniej doby, bardzo aktualne.

Kruk mówi: „Jak te gazety kłamią! Piszą rewolucya! rewolucya! reformy społeczne! Patrzę, człowiek wbity na pal! Chwała Bogu, myślałem się pożywić, a tu zwyczajny strach na ptaki! Gdzie tu jaka rewolucya?...

Lis: Aha, łapka na zwierzynę, a przy niej zanęta. Nie innie brać na konstytucyę! Niema głupich już!

Zające, kuropatwy i t. d.: Zmykajmy co tchu zagranicę, dla nas tu już naprawdę niebezpiecznie. Póki ludzie polowali na nas, — było jeszcze pół biedy, ale teraz, gdy dniami i nocami strzelają do siebie, może się i nam co naprawdę oberwać...

* * *

Przewidująca. — Te sześć kuropatw proszę dla nas odłożyć.
— Dobrze! Czy pani każe odesłać?
— Nie! Mąż, wracając z polowania, napewno zajdzie po nie.

* * *

Uczony pies. — Mój Karo zna się nawet na ortografii.
— No, co?
— A jakże! Raz zawołał na niego mój najmłodszy brat „chodź tu", ale że smarkacz nie umie jeszcze pisać i powiedział „choć tu", pies się nie ruszył z podłogi.

* * *

Także powodzenie. — Cóż tam polowanie mężulka?
— Ubić jeszcze nic nie ubił, lecz kilka dni temu przepysznego zająca położył... samochodem.

* * *

Jaja na twardo. Podróżnik. — Nie masz pan pojęcia, jakie upały mieliśmy w czasie podróży przez Saharę; dość powiedzieć, że kury niosą tam jaja „na twardo".

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (C. d.).

Kruk.

1. Biały kruk rzadka rzecz.
2. Gniewa kruka czarna wrona, a sam czarny, jak i ona.
3. I kruk, by milczał, więcejby jadł.
4. Kiedy kruk kruka kłuje, pewnie głodne lato czuje.
5. Kruk chowany i panu oczy wydłubie.
6. Kruki się tam zlatują, gdzie ścierw jaki poczuwają.
7. Kruk krukowi brat, lecz zazdrosny swat.
8. Kruk krukowi nigdy oka nie wykluje.
9. Myj, jak chcesz, kruka, on jednak brudny zostanie.
10. Nie będą tego jadły ryby, co mają jeść kruki.
11. Nie pomoże krukowi mydło, ani umarłemu kadzidło.
12. Nie pomoże krukowi woda, kiedy taka już uroda.
13. Nie sztuka zabić kruka, ale go złapać.
14. Ulitował się kruk nad żabą, kiedy jej oczy wydziobał.
15. Z kruka łabędź, drozd z kawki nie wychodzi.
16. Złe kruki, złe jaja.
17. Od starych kruków młode uczą się krakać.
18. Zamienili kruka na nieuka.
19. Czarny, jak kruk.
20. Czeka, jak kruk ścierwa.
21. Zburz gniazdo, a odlecą kruki.
22. Co zdobi gołębia, i kruka nie szpeci.
23. Gołąbek za gołąbkiem, kruk za krukiem leci.
24. Kraska krukowi kracze, a kruk na to skacze.
25. Kradnie, jak kruk.
26. I krukiem nosa nie dosięgnąć.
27. Oczko, gdyby kruczek (czarne).
28. Kędy orzeł kracze, tam krucy wtórują.
29. Aby padło, a kruki będą.
30. Schodzą się, jak kruki.
31. Stary, jak kruk.
32. Szlachcic urodzony: z ojca kruka, z matki wrony.
33. Gdzie ścierwo, tam się kruki gromadzą.
34. Nie pomoże mydło wronie, ani krukowi kąpanie.
35. Wronami go karmiono, krucy go zjedzą.
36. Zlecieli się, jak kruki do padła.
37. Kto żony szuka, wcchu pożycz od kruka. (C. d. n.)

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

Monte-Carlo.

D. 27 marca została rozegraną w Monte Carlo jedna z największych nagród, a mianowicie: *Grand Prix du Littoral* (Handicap) przy współudziale 64 strzelających, między którymi było tylko dwóch pierwszorzędnych strzelców, a mianowicie: p. Moncorgé i hr. Luca Gajoli. Zwycięstwo w tej puli pozostało całkowicie przy Włochach.

I-ą nagrodę (złoty medal i 6,250 fr.) zdobył hr. Luca Gajoli ($29^1/_2$ metra), zabiwszy 16/16 gołębi.

II-a nagroda (6,250 fr.) dostała się w udziale p. Fortunio (20 metrów), który miał 15/16 zabitych gołębi.

III-ą i IV-ą nagrodą w ogólnej sumie 3,650 fr. podzielili się pp. margr. Antinori i signor Pellini.

Treść Nr. 8 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

Od Redakcyi „Łowca Polskiego".

Z powodu strejku pocztowego prenumeratorzy nasi nie mogli we właściwym czasie nadesłać prenumeraty.

Uwzględniając to położenie, wysyłaliśmy nasze pismo wszystkim naszym zeszłorocznym prenumeratorom, pomimo nie wniesienia przez nich prenumeraty.

Pragnący „Łowca Polskiego" nadal odbierać, raczą bezzwłocznie prenumeratę nadesłać.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15).

Nad Nilem Niebieskim

przez Jana Sztolcmana

z ilustracyami Józefa Rapackiego.

Jest to niezmiernie interesujące sprawozdanie z łowieckiej wyprawy do Sudanu hr. Józefa Potockiego, któremu towarzyszył autor niniejszego dzieła. Żywo kreślono notatki myśliwskie i opisy przygód łowieckich, zdobią liczne fotografie, zdejmowane przez uczestników wyprawy, która była pierwszą myśliwską wyprawą w tej, mało jeszcze znanej sportsmenom krainie.

Wydanie ozdobne z kolorowaną okładką.

Cena rb. 5.

Prenumeratorowie „ŁOWCA POLSKIEGO" mogą otrzymać to dzieło w Redakcyi (Warecka 15) po 4 ruble.

NAKŁADEM REDAKCYI

„Łowca Polskiego"

wyszły następujące dzieła myśliwskie:

Jan hr. Ostroróg „Myślistwo z ogary" t. I 75 k.

C. Cronau „Bażant łowny, jego pokrewne gatunki i krzyżowania. Historya i hodowla bażanta oraz zakładanie bażantarni" z rysunkami tom I 1.50 k.

Goedde „Hodowla bażantów" t. I 1.— „

Rudolf Weber „Żelaza i pułapki myśliwskie" t. I 75 „

Ernest v. Dombrowski „Myśliwy jako preparator i kolekcyonista" t. I 50 „

Jul. Biesiekierski „Kuropatwa szara czyli pospolita" t. I z ilustracyami 80 k.

Wiktor Stephan „Sarna" t. I z rysunkami 50 „

Wiktor Stephan „Zając pospolity" t. I 70 „

Ernest hr. Sylva-Tarouca „Hodowca a myśliwy" t. I 1.20 „

Dr. Max Neumeister „Żywienie jeleni i sarn" t. I 60 „

Dr. O. Hilfreich „Pies zdrowy i chory" z rysunkami t. I. 1.— „

Karol Lancaster „Sztuka strzelania i polowania" z rys. t. I. 80 „

Dzieła te są do nabycia w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Warecka 15) i we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni

K. TREPTEGO

(w Warszawie, Marszałkowska 149).

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).



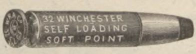
Warszawska Spółka Myśliwska

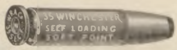
dawniej **B. Ronczewski**

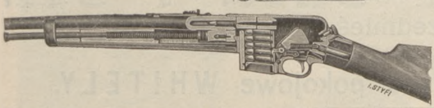
WARSZAWA Królewska 17, Telefon № 1917.

poleca świeżo otrzymane **nowości:**









Automatyczne sztucery
Myśliwskie
6-cio strzałowe

Amerykańskiej fabryki Winchester.



Automatyczne sztucery magazynowe myśliwskie, bezkurkowe 6 strzałowe, model 1905 r., amerykańskiej fabryki **Winchester**, z zabezpiecznikiem, uniemożliwiającym przypadkowe wystrzały, z lufą łatwo odejmowaną, okrągłą, długości 22 cali ang., do ładunków bezdymnych kal. 32 albo 35 o kuli opancerzonej całkowicie, albo tylko w części, wagi około 8¼ funta. Sztucery te dokładnie wykonane, o trwałym, nieskomplikowanym systemie, odznaczają się przedewszystkiem centrownym strzałem, dużą szybkością kuli i silną penetracyą, a wobec znanej skuteczności kuli w części opancerzonej na silną zwierzynę, doskonale nadają się do różnorodnych polowań. Praktyczne znaczenie tych magazynek podnosi się jeszcze przez możność noszenia ze sobą zapasowych, napełnionych ładunkami magazynów dla natychmiastowego zastąpienia magazynu wyczerpanego po pierwszych 6 strzałach.

Dla wypuszczenia wszystkich strzałów strzelcowi nie pozostaje, jak tylko pociągać za cyngiel. Wszystkie inne operacye, jak wyrzucenie wystrzelonej gilzy, odwiedzenie zamka i przeprowadzenie następnego ładunku z magazynu do kamery lufy, dokonywają się same przez zużycie siły oddania . . . . **Rb. 57.50.**

Dla nabicia broni należy wyjąć magazyn przez naciśnięcie guzika na prawej stronie przedniej części antaby. Napełniony 5-ciu ładunkami magazyn wsuwa się napowrót, przyczem zamki powinny być zawsze spuszczone przed umieszczeniem magazynu w broni. — Nacisnąwszy natenczas guzik wystający w przedniem pudle, wprowadzamy temsamem 1-szy ładunek do kamery lufy i sztucer jest gotowy do strzałów. — Chcąc mieć 6 strzałów do dyspozycyi, należy wsunąć jeden ładunek do kamery lufy przed wstawieniem magazynu.

Dla odjęcia lufy naciska się guzik umieszczony przed baskilą w górnej jej części, odkręca się śróbę tamże umieszczoną, poczem lufa i przednie pudło odejmują się przez pociągnięcie naprzód. Dla łatwiejszego wyczyszczenia lufy, należy naciskać guzik wystający w przedniem pudle i utrzymać go w tej pozycyi przez obrócenie go w prawo albo w lewo.

Fabryki **LEBEAU-COURALLY** większy transport broni pojedyńczych i parami różnych typów, świeżo nadszedł.

Sprzedaż po cenach oryginalnych fabrycznych.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W maju wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), kaczory i słonki na ciągu.

Uwaga. Przepiórek strzelać nie należy aż do czasu otwarcia sezonu na kuropatwy.

Lunacya w maju.

Pierw. kw. d. 1 o g. 8 m. 31 w.
Pełnia d. 8 o g. 3 m. 34 pp.
Ostat. kwad. d. 15 o g. 8 m. 27 r.

Wschód i Zachód Słońca

w maju

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	4	32	7	23
2	4	30	7	25
3	4	28	7	27
4	4	26	7	28
5	4	24	7	30
6	4	22	7	32
7	4	21	7	33
8	4	19	7	35
9	4	17	7	37
10	4	15	7	38
11	4	14	7	40
12	4	12	7	41
13	4	10	7	43
14	4	9	7	45
15	4	7	7	46

WYRÓB KRAJOWY KARMU
DLA BAŻANTÓW DROBIU I PSÓW
PRZESYŁA CENNIKI
„DYANA"
SKIERNIEWICE GUB WARSZAWSKA

ROMUALD WIĘCKOWSKI
Adwokat przysięgły. Chmielna 24.

Wierzchowiecńska bażantarnia Adama Hr. Rzewuskiego będzie miała na sprzedaż wiosną r. b.

3000 — 4000 jaj.

Cena 40 rb. za setkę jaj z opakowaniem loco stacya Polud. Zachod. kolei, Browki. Przy zamówieniu płaci się 25% wartości i otrzymuje się instrukcya o wylęganiu. Wysyłanie zamówionych jaj zacznie się około 10/23 maja. Bliższe informacye: Kijów, Bulwarno-Kudriawska № 16, Kantor Główny Dóbr A. Hr. Rzewuskiego. L. Lisowski.

Istnieje od 1854 r.



ZAKŁAD
wypychania zwierząt i ptaków
p. f.
ANTONI ŁASTOWSKI
dawniej S. WYSOCKI
pozostaje na dawnem miejscu t. j. na Krakowskiem-Przedmieściu № 22.
A. Łastowski
Uczeń Delesalle'a w Paryżu.
(1)

Jaja bażancie
z Pawłowic (w pow. błońskim)
są do sprzedania w ilości około 1000 sztuk, po 30 kop. sztuka loco Warszawa lub st. Teresin (kol. kaliska). Oferty nadsyłać: Warszawa, plac Ś-go Aleksandra domu Nr. 12, m. 3.

Jaja bażancie
do sprzedania
Administracya Dóbr Nieborowskich
przez Łowicz gub. Warszawska.

Łabędzie
młode do sprzedania
Administracya Dóbr Nieborowskich
przez Łowicz gub. Warszawska.

Żywe kuropatwy
silne, zdrowe, bez wady, z gwarancyą żywego przybycia na wszelką stacyę z Czech. Para *rb. 4*.
Bażanty, kury i koguty
sztuka *rb. 4*.
Dzikie króliki, para *rb. 1.85*, oraz wszelkiej ilości jaja do wylęgania bażantów i kuropatw.
Dostarcza F. Horaczek exporter zwierzyny, Martinicz, Starkenbach, Czechy.

Skład Artykułów Specyalnych
KRZYSZTOF BRUN I SYN
Krakowskie Przedmieście Hotel Bristol.

Aparaty gimnastyczne pokojowe WHITELY.

WELOCYPEDY
pierwszorzędnych zagranicznych fabryk.

Wagi Amerykańskie „FAIRBANKS"
różnych wielkości i sił.

MASZYNY DO PISANIA REMINGTONA
uznane za najlepsze w świecie.

LAMPY NAFTOWE „WELS'A"
do oświetlania większych przestrzeni.

Koła transmisyjne drewniane, składane.

Cenniki szczegółowe franco, gratis.
(20)